

Barbara
Cartland

Miłość silniejsza
niż szatan

scandant.pl

OD AUTORKI

W drugiej połowie dziewiętnastego stulecia we Francji nastąpił prawdziwy boom publikacji poświęconych magii.

Władze kościelne były zaniepokojone tą modą na okultyzm, zwłaszcza że jednocześnie szerzył się we Francji antyklerykalizm. Paryż zyskał ponurą sławę centrum czarnej magii.

Dla wielu młodych ludzi pióra głównym tematem stała się magia, co wkrótce pociągnęło za sobą modę na coś jeszcze gorszego, a mianowicie satanizm.

Jednym z najbardziej znanych literatów był wówczas markiz Stanislas de Guaita, poeta, który po przeczytaniu książek Eliphasa Léviiego dostał obsesji na punkcie magii. Utworzył kabalistyczny Zakon Różokrzyżowców. W końcu Guaita stracił zdrowie i rozum wsku-

tek długiego siedzenia po nocach nad starymi księgami o czarach, tajnymi rękopisami i przyrządami okultystycznymi. Zarówno on, jak i poeta Dubas zażywali narkotyki. Dubas, o którym wspominał w niniejszej książce, miewał halucynacje i zmarł na wpół obłąkany w jednym z paryskich szaleńców po wstrzyknięciu sobie zbyt dużej dawki morfiny.

Wrogość katolicyzmu wobec satanizmu szła w parze z niechęcią do wolnomularstwa. W encyklice papieża Piusa IX z tysiąc osiemset siedemdziesiątego trzeciego roku mówi się, że masoneria działa w świecie w imieniu szatana.

Nie ulega wątpliwości, że okres zwany *belle époque* był na wskroś przeniknięty i skażony bakcylem czarnej magii.

Gdy w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym ósmym roku wybuchła afery Dreyfusa, w społeczeństwie francuskim szerzyły się obawy, że jakieś złowrogie siły tajemne próbują zniszczyć porządek społeczny, a nawet cywilizację.

1893

Vincent Mawde pomyślał z ulgą, że w końcu znalazł miejsce, gdzie mógłby się zatrzymać na noc. Zsiadł z konia i przywiązał go pod drzewem. Zwierzę było tak zmęczone, że nie poszłoby dalej. Mimo to Vincent spętał mu nogi, by koń nie uciekł gdzieś nad ranem. Potem rozejrzał się za kawałkiem piasku, gdzie mógłby się przespać, nie czując pod kocem kamieni, tak jak to było minionej nocy. Miał namiot, chociaż może to za dużo powiedziane. W każdym razie osłaniał go, gdy spał, i chronił przed ukąszeniami moskitów oraz różnych owadów występujących w tej części Indii. Czuł zmęczenie, wielkie zmęczenie. Marzył o zjedzeniu skromnego posiłku, który miał ze sobą, i wypiciu czegoś. Gdy się posilił, zaniósł dwie pozostałe butelki hinduskiego piwa za kępę drzew.

Włożył je do niewielkiego strumienia, by się chłodziło do rana.

Gdy wracał, słońce kryło się już za horyzontem. Wiedział, że niebawem zapadną ciemności, ale będą rozpraszane światłem gwiazd i księżyca. Rozbił namiot i rozłożył gruby koc, na którym sypiał. Nie musiał się niczym przykrywać. Już wcześniej zdjął niemal całe ubranie, typowe dla podróżujących po Indiach osób z niższych sfer. Występował bowiem w przebraniu, co zdarzało się rzadko, gdy jechał samotnie. Ale w końcu wracał już do cywilizowanego świata. Dzięki Bogu po wypełnieniu misji, z którą został wysłany, nadal był sam. Właśnie miał wśliznąć się do namiotu, gdy usłyszał zbliżający się stukot kopyt końskich. W mgnieniu oka zerwał się w obawie, że może to być kolejny wróg. Wymknął się już wielu napastnikom. Gdy jeździec podjechał bliżej, Vincent zobaczył jego mundur i westchnął z ulgą. Wyciągnął rękę na powitanie, czekając, aż młody oficer zsiądzie z konia.

— Vincent? Czy to naprawdę ty? — zapytał nowo przybyły. — Niemal straciłem nadzieję, że cię odnajdę!

— Nawet do głowy mi nie przyszło, że cię tu zobaczę, Nicolas! — odparł Vincent Mawde. — Dlaczego mnie szukałeś?

— Mam ci wiele do powiedzenia. Gdzie postawić konia?

— Tam gdzie stoi mój, pod drzewami — zaproponował Vincent.

Nie mówiąc nic więcej, Nicolas Giles zaprowadził rumaka w kierunku drzew. Vincent przyglądał mu się zdumiony. Co mogło spowodować, że znajomy oficer wyruszył na jego poszukiwanie, skoro on już wracał z „zaświatów”? Za kilka dni byłby przecież w koszarach. Wyglądało na to, że zaszło coś nadzwyczajnego. Niemniej po długim okresie osamotnienia miło było zobaczyć przyjazną twarz. Po niespełna pięciu minutach Nicolas sprężystym krokiem wrócił spod kępy drzew. On również zdjął mundur, tak jak Vincent.

Mawde rozbił namiot u podnóża głązów stanowiących ruiny istniejącej tu niegdyś świątyni. Zapewniały mu one ochronę przed słońcem, a także w pewnym stopniu osłaniały obozowisko od tyłu. Teraz siedział z wyciągniętymi nogami. Jego twarz i całe ciało były ogorzałe od słońca. Nawet najbliżsi mieliby trudności z rozpoznaniem w nim typowego bladego Anglika.

Nicolas podszedł do niego, rzucił na ziemię płaszcz i powiedział:

— Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię znalazłem! Jedno mogę powiedzieć o tym kraju — że jest za duży i za gorący!

Vincent roześmiał się.

— Masz rację. Ale w żadnym innym jeszcze nie byłem.

— Obawiam się, że będziesz musiał — odparł Nicolas.

Vincent spojrzał na niego zdziwiony.

— Co masz na myśli?

— To wicekról kazał mi wyruszyć na poszukiwanie ciebie.

— Wicekról? — powtórzył Vincent. — A o co, u diabła, mu teraz chodzi?

Nicolas wyjął gazetę.

— Przede wszystkim przysłała ci to.

Vincent wziął gazetę i zobaczył, że jest otwarta na rubryce „Z życia wyższych sfer”.

— Obawiam się, że to zła wiadomość — dodał Nicolas.

Vincent przebiegł oczami stronę i zauważył, że podkreślono jeden z artykułów. Przeczytał:

ŚMIERĆ CZWARTEGO MARKIZA MAWDELYN

Z wielkim smutkiem informujemy o nagłym Zgonie markiza Mawdelyn, lorda pułkownika Berkshire.

Markiz chorował kilka tygodni i zmarł w zeszły czwartek. Strata czołowego reprezentanta jednego z najstarszych i najbardziej szacow-

ných rodów w Anglii jest głęboko odczuwana przez społeczeństwo oraz cały dwór...

Tu następowała długa lista stanowisk, jakie markiz zajmował w ostatnich latach, oraz odznaczeń, jakie otrzymał.

Ostatni akapit brzmiał:

Markiz nie był żonaty, a jego dziedzicem jest kapitan Vincent Mawde, przebywający obecnie wraz ze swym pułkiem za granicą. Kapitan Mawde jest synem lorda Richarda Mawde'a, młodszego brata markiza.

Pogrzeb odbędzie się w sobotę w opactwie Mawdelyn.

Vincent przeczytał notatkę do końca. Potem odłożył gazetę, a Nicolas rzekł:

— Przykro mi, Vincent, bo to oczywiście znaczy, że nas opuścisz.

— Tak, sądzę, że będę musiał jechać do domu — przytaknął Vincent.

— To samo powiedział wicekról — odrzekł Nicolas. — Jego zdaniem powinieneś jechać natychmiast, nie wracając do koszar.

Vincent uniósł brwi ze zdziwienia.

— Czemu tak powiedział?

Po chwili milczenia Nicolas odparł:

— Muszę cię powiadomić o jeszcze jednej rzeczy! Masz prawdziwego wroga!

— Wiem o tym doskonale — przyznał Vincent.

— Nie chodzi oczywiście o nieprzyjaciół, z którymi niedawno walczyłeś. W tym nie ma nic niezwykłego.

— Więc co masz na myśli? — spytał zdziwiony Vincent.

— Kiedy wyjechałeś, a przypomnij sobie, że było to w środku nocy, Jeffrey Wood dowiedział się o tym od swojego ordynansa.

Vincent dobrze znał Jeffrey Wooda. Był to jeden z tych oficerów, których nie darzył szczególną sympatią. Major Wood czuł się urażony, że Vincent jest specjalnie traktowany ze względu na udział w tajnej misji, zwanej Wielką Grą. Vincent zniknął na długie okresy z własnego pułku, ale nikt nie pytał, dokąd jest oddelegowany. Nie było również wiadomo, kiedy pojawi się z powrotem. *Pełnił misje specjalne* z rozkazu wicekróla i Naczelnego Dowództwa. Większość jego towarzyszy broni akceptowała ten stan rzeczy. Jednak major Jeffrey Wood był zazdrosny, że Vincent ma osobisty kontakt z „władzą”. Vincenta irytowały jego sarkastyczne uwagi na temat faworyzowania niektórych osób. Ale na ogół nie zwracał uwagi na coś, co

uważał za dziecinadę, chociaż Jeffrey był starszy od niego.

Teraz Vincent spytał:

— A co ma z tym wspólnego „Galopujący Major”?

— Kiedy wyjeżdżałeś w środku nocy, nikt prócz mnie cię nie widział.

— Pamiętam, że wszystko odbyło się jak zwykle po cichutku — rzekł Vincent.

— Cóż, kiedy Jeffrey dowiedział się, że twój pokój jest pusty, przed świtem przeniósł się tam, by nikt inny go w tym nie ubiegł!

Vincent roześmiał się.

— To bardzo podobne do majora. Mam nadzieję, że było mu wygodnie!

— Został tam *zamordowany* — *powiedział* cicho Nicolas. — Musiało to nastąpić pomiędzy momentem, gdy położył się na twoim łóżku, a *chwilą, gdy przyszedł do niego* ordynans.

— Zamordowany?! — wykrzyknął Vincent. — Nie wierzę!

— To prawda. Morderca został złapany.

— Kto to był?

— Pewien nic nie znaczący Hindus, a kiedy zmuszano go, dość okrutnie, do wyjawienia prawdy, zeznał, że dostał takie rozkazy z Anglii!

Vincent wpatrywał się w przyjaciela.

— Nie wierzę ci! Kto w Anglii mógłby chcieć mnie zabić?

— Najwyraźniej dobrze mu zapłacono, bo miał przy sobie dużo pieniędzy — odparł Nicolas.

— Za tym muszą stać Rosjanie, którzy zawsze wywołują zamieszki plemienne.

— Zarówno wicekról, jak i Naczelne Dowództwo najwidoczniej sądzą co innego. Radzą, byś jechał do domu, skoro zostałeś markizem Mawdelyn. Masz jechać potajemnie, nie wracając pod żadnym pozorem do koszar.

— Ale przecież złapaliście już mordercę Jeffreya!

— Wicekról uważa, że nie tylko on dostał polecenie zlikwidowania ciebie. Pamiętasz incydent na bazarze dwa miesiące temu?

Vincent zmarszczył brwi. Oczywiście, pamiętał. Szedł właśnie przez bazar po tajnym spotkaniu z człowiekiem, który przekazał mu pewną bardzo cenną informację. Nie było powodu, by spotykać się z nim w przebraniu, miał więc na sobie mundur. Zamierzał zrobić zakupy, jak wielu żołnierzy po służbie. Jednak rozmowa z informatorem trwała dłużej, niż przewidywał. Zrobiło się już ciemno i w sklepach zapalano lampki oliwne lub świece, by oświetlić towary. Zaułki tonęły w ciem-

nościach, które w Indiach zawsze są złowrogie i których lepiej unikać.

Vincent torował sobie drogę w tłumie kobiet, mężczyzn, gęsi, psów, osłów i gdzieś tam świętych krów. Na bazarze było wielu innych żołnierzy. Jeden z nie znanych mu z nazwiska oficerów przepchnął się do niego i spytał:

— Pan Mawde, prawda? Chciałem zapytać...

Gdy tylko zaczął, Vincent zobaczył, że pewien właściciel straganu przyzywa go gestem ręki. Pomyślał, że pewnie chce mu powiedzieć, iż ma już prezent, który Vincent zamówił dla jednego z przyjaciół w Anglii.

— Chwileczkę — zwrócił się do stojącego obok młodego oficera — chcę porozmawiać z tym człowiekiem.

Przepchnął się przez gromadę dzieci w kierunku sklepikarza. Okazało się, że dobrze się domyślił, bo zamówiony prezent już czekał. Handlarz oznajmił, że wyśle go nazajutrz do koszar.

— Dziękuję, Ali — odparł Vincent. — Jestem ci bardzo wdzięczny. Przygotuję pieniądze, gdy tylko doręczą mi paczkę.

Zawrócił, by podejść do czekającego na niego młodego oficera. Ze zdziwieniem zobaczył, że podczas jego nieobecności w tym miejscu

zgrupował się tłum. Oficer leżał na ziemi. Został ugodzony z tyłu długim cienkim sztyletem i zmarł, zanim zdołano go zanieść do lekarza.

Nikt nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, dlaczego został zamordowany ów młody człowiek, niedawno przybyły z Anglii.

Wówczas dowódca powiedział Vincentowi, gdy zostali sami:

— Podejrzewam, Mawde, że skoro i pan, i on byliście w mundurach, a pchnięto go w plecy, to ten cios był przeznaczony dla pana!

Vincent pomyślał wtedy, że to prawdopodobne. Wypełnił wiele tajnych zadań, więc oczywiście niektórzy stali się wobec niego podejrzliwi. Nie mówili tego głośno, ale uważali, że nie jest zwykłym brytyjskim oficerem, za jakiego się podawał. Ponieważ jednak nic więcej się nie stało, Vincent aż do tej chwili nie zaprzętał sobie głowy owym wypadkiem.

— Nie ma żadnych wątpliwości, że Jeffrey Wood zginął, bo spał na twoim łóżku — oświadczył Nicolas. — Właśnie dlatego musisz wyjechać z Indii najszybciej, jak to możliwe.

— Trudno mi to zrozumieć, Nicolas — przyznał Vincent. — Mogę cię zapewnić, że nie mam pojęcia o żadnym wrogu w Anglii, który nie cierpiałyby mnie aż tak bardzo, by popełnić morderstwo!

— Dwa — rzekł cicho Nicolas.

— Cała ta sprawa jest absurdalna! — wykrzyknął Vincent. — Ale oczywiście zrobię, co mi kazano. Myślę, że znajdzie się ktoś miły, kto spakuje moje rzeczy i odeśle do domu.

— Z pewnością tego dopilnują — odparł Nicolas.

— To wszystko dziwnie wygląda. Wiemy, że czyha tu na nas niebezpieczeństwo, ale jeśli coś takiego zdarza się wśród swoich, zaczyna to być mocno intrygujące.

— Zgadzam się z tobą. Mam nadzieję, że wszystko się wyjaśni, gdy poznamy prawdę. Najwidoczniej jednak ten szaleniec, który oczywiście będzie wisiął, jest dość przekonujący.

— Może uważa, że to jedyna droga, by ocalić własną skórę — podsunął Vincent.

W tym momencie zobaczył, że Nicolas wypił już całe piwo i odstawił pustą butelkę.

— Czy nadal chce ci się pić? Masz ochotę na jeszcze jedno? — zapytał.

— Oczywiście! Jechałem cały dzień w tym okrutnym słońcu. Wypiłbym Atlantyck, gdyby był pod ręką.

— Mam jeszcze dwa piwa — oznajmił Vincent. — Dam ci jedno, a drugie wypijemy na spółkę.

— To dla mnie w tej chwili więcej niż wszystkie klejnoty maharadży! — skwitował ze śmiechem przyjaciel.

— Zaraz po nie pójde. Chyba się ucieszysz, że mam jeszcze jeden koc. Zostawiam ci decyzję, który z nas będzie spał w namiocie — jest za mały dla nas dwóch.

Mówiąc to, podniósł się z ziemi i poszedł w kierunku kępy drzew.

Gdy doszedł do strumienia, w którym chłodziło się piwo, zauważył, że Nicolas nie zdjął uzdy swemu koniowi. Nie spętał mu też nóg tak delikatnie jak on swojemu.

Vincent bardzo lubił zwierzęta i zawsze niezwykle się troszczył o ich wygodę. Wyjął więc wędzidło z pyska konia i poluzował mu pęta. Potem dał strudzonemu rumakowi pić z bukłaka, którym poił własnego konia. Musiał w tym celu pójść do strumienia i wrócić. Zanim w końcu wziął koc i dwie butelki piwa, upłynęło sporo czasu. Słońce całkiem się schowało i jak zwykle na Wschodzie, zapadła noc niepoprzedzona zmierzchem. Na niebie zabłyśły gwiazdy. Księżyc w pełni oświetlał pasmo gór rozpościerające się niedaleko na północy.

W jego blasku Vincent widział drogę powrotną tak dobrze jak w dzień. Niosąc dwa piwa, szedł w stronę namiotu. Gdy dotarł na miejsce,

stwierdził, że Nicolas jest w środku — z wejścia do namiotu wystawały jego stopy bez butów do konnej jazdy.

— Przyniosłem ci piwo, Nicolas — rzekł — a jeśli chronisz się przed owadami, nie będzie ich aż do rana.

Odpowiedziało mu milczenie.

— Wychodź! — ciągnął Vincent. — Mam dla ciebie koc i pozwolę ci spać w namiocie, skoro tak zdecydowałeś.

Schylił się, by zajrzeć do środka.

Nicolas nadal leżał bez ruchu i bez słowa. Vincent rozsunął poły namiotu, tak że oświetliły go od wewnątrz promienie księżyca.

Młody oficer leżał na plecach, a światło księżyca połyskiwało na przedmiocie tkwiącym nad jego sercem.

Nawet nie dotykając Nicolasa, Vincent wiedział, że on nie żyje.

Charisa zbiegła ze schodów, gdy tylko usłyszała powóz zatrzymujący się przed drzwiami. Od ponad godziny czekała na powrót ojca. Teraz, gdy wysiadał z otwartego landa zaprzężonego w dwa wspaniałe konie, wykrzyknęła z ulgą:

— Wróciłeś, papo! Zastanawiałam się, czemu nie ma cię tak długo.

Pułkownik Lionel Templeton ucałował córkę i objął ją ramieniem, wchodząc po schodach.

— Zajął to więcej czasu, niż się spodziewałem — wyjaśnił — z tego prostego powodu, że nowy markiz nie był w opactwie od wielu lat.

— Więc oczywiście musiałeś mu opowiedzieć o wszystkim, co go interesowało — domyśliła się Charisa.

— Staraniem się — odparł pułkownik. — Mogę mieć tylko nadzieję, że okaże się tak dobrym dziedzicem jak jego wuj.

Po brzmieniu głosu ojca Charisa zorientowała się, że nie bardzo w to wierzy.

— Myślę, że przynajmniej okaże szczodrość dawnym pracownikom i nadal będzie utrzymywał przytułki.

— Sądzę, że tak, ale nie był tym szczególnie zainteresowany. Chciał przede wszystkim wiedzieć, jakie będą jego dochody z dzierżaw i czy rolnicy są pewni dobrych zbiorów.

Rozmawiając, znaleźli się w gabinecie. Pułkownik podszedł do barku, by nalać sobie drinka, a córka usiadła na kanapie. Po sposobie, w jaki ojciec się wypowiadał, wywnioskowała, że coś go martwi. Gdy zbliżał się do niej ze szklaneczką w ręku, spytała:

— Co się stało, papo?

— Właściwie nic — odpowiedział pułkownik. — Myślę, że układa się tak, jak chciałem, by się stało, ale nie tak prędko.

Charisa popatrzyła na niego zdziwiona.

— O co chodzi?

— Markiz zasugerował... przyznaję, że w sposób dość zawoalowany... iż powinnaś za niego wyjść.

Charisa spojrzała na ojca szczerze zaskoczona.

— Dał to do zrozumienia dzisiaj... tuż po przyjeździe?

— Jak wspomniałem, była to tylko aluzja, ale rzeczywiście myślę, kochanie, że się zanadto pośpieszył. Mimo wszystko nie widziałas go od co najmniej dziesięciu lat!

— Od czternastu! — sprostowała Charisa. — Obliczyłam to rano. Miałam wtedy cztery lata i było to podczas bożonarodzeniowego przyjęcia, na które zostali zaproszeni wszyscy Mawde'owie.

— W takim wieku trudno przypuścić, że ma się do czynienia z przyszłym panem młodym!

— Pułkownik się zaśmiał.

Odstawił szklaneczkę i przez chwilę przechadzał się po pokoju, po czym powiedział:

— Nie będę przed tobą ukrywał, kochanie, że nawet myślałem o tym, iż mogłabyś poślubić

dziedzica starego markiza, bo przecież byliśmy bardzo dobrymi przyjaciółmi.

— Nieraz wydawało mi się, że masz taką właśnie nadzieję, papo! Opactwo Mawdelyn znaczy dla ciebie tak dużo nie tylko dlatego, że lord powierzył je twojej opiece i polegał na tobie. Zawsze uważałam, że jesteś jego nieopłacanym zarządcą!

— Oczywiście, że nieopłacanym — przyznał pułkownik — zważywszy, że pomagałem mu finansowo po prostu dlatego, że nigdy nie miał wystarczających dochodów.

— Czy naprawdę sądzisz, że skoro bardzo cię lubił i ty bardzo lubiłeś jego, nie czuł się zażenowany twoją wspaniałomyślnością?

— Oczywiście, że nie — odparł pułkownik. — A jednocześnie nie chcę, by młodzieniec, którego właśnie poznałem, był przeświadczony, że w każdej chwili może liczyć na moje wsparcie pieniężne. Ani też nie życzyłbym sobie, by był gotowy ożenić się z tobą po to, by mieć taką pomoc zawsze pod ręką!

— Naprawdę sądzisz, że to właśnie planuje?
— spytała Charisa.

— Postawiłem sprawę jasno — odparł ojciec — a wiesz, kochanie, że dość dobrze znam się na ludziach. W moim pułku zawsze mówiono, że mam szczególną umiejętność czytania w ludzkich sercach.

— Oczywiście, że tak — potwierdziła Charisa. — Zatem powiedzmy nowemu markizowi, że powinien sobie znaleźć własnych przyjaciół, którzy będą za niego płacili, a nie liczyć na ciebie.

— Zrobiłbym tak, gdyby nie chodziło o Mawdelyn. Miałaś rację, kochana córeczko, mówiąc, że je kocham. — Uśmiechnął się i dodał: — Często myślę, że opactwo znaczy więcej dla mnie niż dla samych Mawde'ów. Ale oczywiście twoja matka pochodziła z tego rodu i nigdy nie zapomniałem, jakie to było dla niej ważne.

Pułkownik ożenił się z kuzynką markiza z bocznej linii, ale w każdym razie „z domu Mawde”.

Kiedy jego ojciec kupił posiadłość graniczącą z opactwem Mawdelyn, nie miał pojęcia, że obie rodziny tak blisko się zwiążą.

Pułkownik Templeton w młodości był bardzo przystojny i bardzo energiczny. Zobaczył Elizabeth Mawde podczas jednego z pierwszych przyjęć, na które został zaproszony do opactwa. Zakochał się w niej na zabój. Ona również go pokochała. Rodzina uznała, że bardzo dobrze się złożyło, iż najbliższy sąsiad stanie się zarazem powinowatym. Mawde'owie byli też zadowoleni, że Elizabeth wyjdzie za mąż za bardzo bogatego człowieka.

Ojciec pułkownika dorobił się majątku na przemyśle okrętowym w północnej Anglii. Jednak przyjechał na południe kraju, bo chciał „prowadzić życie dżentelmena”. Właściwie sam pochodził ze starego rodu właścicieli ziemskich, ale jako młody człowiek zajął się przemysłem budowy okrętów. Kiedy zarobił na tym odpowiednio duże pieniądze, zaprzagnął porzucić północną Anglię i zacząć nowe życie na własny rachunek.

Znalazł upragniony dom w Berkshire. Budynek pochodził z połowy osiemnastego wieku i nie przypominał oczywiście opactwa. Niemniej sprawiał wyjątkowo duże wrażenie.

Wkrótce posiadłość funkcjonowała tak znakomicie, że stała się przykładem dla innych właścicieli ziemskich. Nie było więc w tym nic dziwnego, że gdy czwarty markiz odziedziczył Mawdelyn, zwrócił się po radę do swego rówieśnika. Przyjaźń obu mężczyzn rozkwitła.

Charisa kochała „wujka George'a”, jak nazywała ostatniego markiza. Jej ojciec tak często bywał w opactwie, że stało się ono dla niej jakby drugim domem. Znała w nim każdy zakamarek i każdą rysę na murze. Pokochała piękno starych wnętrz. Z ogromną radością wędrowała tajnymi przejściami zbudowanymi niegdyś dla katolickich mnichów, którzy musieli się ukry-

wać przed prześladowaniami za czasów królowej Elżbiety I. Później owe korytarze zostały rozbudowane i wykorzystywali je rojaliści ukrywający się przed wojskami Cromwella. Ojciec marzył, że kiedyś jego córka zamieszka w opactwie, sama Charisa zaś w jakiś sposób nabrała przekonania, że jest to nieuchronne. Ale gdy dorosła, miała niewiele okazji, by spotykać się tam z przedstawicielami młodszego pokolenia.

Vincent, kuzyn markiza i jego oczywisty spadkobierca, wstąpił do wojska tuż po skończeniu Oxfordu i pełnił służbę za granicą. Pisywał do niej i przysyłał pocztówki z Indii, ale było to oczywiście co innego niż widywanie się z nim. Charisa pomyślała teraz, że był on najmilszy z męskiej linii Mawde'ów. Ona sama temu nastoletniemu chłopcu, o osiem lat starszemu od niej, musiała wydawać się wówczas bardzo małą dziewczynką. Widywała przelotnie innych przedstawicieli rodu Mawde'ów, natomiast obecnego markiza, Gervaisa Mawde'a, przypominała sobie z wielkim trudem.

Wiadomość o śmierci Vincenta była dla niej i ojca wielkim szokiem.

— Jak los może być aż tak okrutny? — zadawała ojcu pytania.

Wiadomość ta dotarła z Indii wkrótce po pogrzebie starego markiza. Ojciec otrzymał list

od Gervaisa Mawde'a. Pisał on, że nie może uczestniczyć w pogrzebie z powodu pobytu w Paryżu. Dowiedział się jednak o śmierci swego kuzyna Vincenta, a ponieważ sam był następny w kolejności dziedziczenia, miał wrócić do Anglii najszybciej, jak to będzie możliwe. Istniała jednak pewna przeszkoda.

Dowódca regimentu Vincenta zameldował w Ministerstwie Wojny, że jego zwłoki zostały znalezione w odległej, dzikiej części kraju i nie ma stuprocentowej pewności, czy zostały właściwie zidentyfikowane. Pułkownik Templeton pojechał do Ministerstwa Wojny do Londynu. Dowiedział się, że minął ponad tydzień od chwili, gdy w namiocie Vincenta znaleziono ciało z tkwiącym w nim sztyletem, do momentu powiadomienia angielskiego dowództwa. Z powodu panującego upału stan rozkładu zwłok był tak duży, że uniemożliwiał ich jednoznaczoną identyfikację. Pułkownik dowiedział się ponadto, że zaginął towarzysz broni Vincenta. Nadal go szukano. Mógłby on zapewne udzielić władzom jakichś informacji.

Jednak po upływie miesiąca, pod naciskiem Gervaisa Mawde'a, Ministerstwo Wojny musiało uznać Vincenta za zmarłego. W tej sytuacji Gervais stawał się szóstym markizem Mawde'em.

Dopóki się to wszystko nie wyjaśniło, nie zjawił się w opactwie. Teraz przyjechał i pułkownik spotkał się z nim na jego prośbę.

— Jaki on jest? — spytała Charisa.

Ojciec zawahał się.

— Nie widziałem go od wielu lat — odparł — rzeczywiście, tak jak mówisz, pewnie od czternastu.

— Czy jest podobny do członków rodziny? — dążyła Charisa.

— Tak — przyznał pułkownik — chociaż jest w nim coś, co go odróżnia. Sądzę, że dlatego, iż przez długi czas mieszkał za granicą i jest w większym stopniu obywatelem świata niż reszta rodziny.

— Dlaczego zamieszkał we Francji? Często się nad tym zastanawiałam, ale nikt nie potrafił mi wyjaśnić.

— Powiedziano mi, że bardzo lubi Paryż, a jego matka była pół-Francuzką. Poza tym kształcił się tam i wszyscy jego przyjaciele są Francuzami.

— Trudno wyobrazić sobie, że któryś z Mawde'ów może być kimkolwiek innym niż mieszkającym na wsi angielskim dżentelmenem — zauważyła Charisa.

— Też tak myślę — przyznał pułkownik.

Po chwili milczenia powiedział:

— Przypuszczam, że wiedząc, iż małżeństwa wśród francuskiej arystokracji są zwykle aranżowane, łatwiej nam będzie zrozumieć, czego Gervais oczekuje od takiego związku. Właśnie dlatego zwrócił się najpierw do mnie, zamiast starać się poznać ciebie.

— Myślę, papo, że musimy mu wyjaśnić, że jesteśmy Anglikami. Zawsze obiecywałeś mi, że nikt nie będzie mnie zmuszał do małżeństwa bez miłości.

— Oczywiście, że nie — przytaknął pułkownik. — Jednak chciałbym, kochanie, żebyś nie uprzedzała się przed poznaniem Gervaisa.

Po chwili przerwy mówił dalej:

— Musimy wziąć pod uwagę, że młody człowiek, który dorastał wśród Francuzów, nie będzie myślał i zachowywał się tak jak ktoś, kto kształcił się w Eton czy Oxfordzie, a potem naturalnie wstąpił do pułku, w którym służyli wszyscy członkowie jego rodziny.

— Oczywiście, rozumiem. Ale, papo, nie chcę wychodzić za mąż ponaglana przez kogośkolwiek! Uwielbiam być z tobą i kocham swój dom.

— Kochasz też Mawdelyn — rzekł cicho ojciec.

— Zgadza się z tobą, że jest piękne — odparła Charisa — ale to tylko kamienie i cegły.

Milczała chwilę, a potem mówiła dalej:

— Kochałeś mamę i mama kochała ciebie. Ja też chcę wyjść za kogoś, z kim będę szczęśliwa, nie dlatego, że ma jakiś majątek, ale ze względu na niego samego.

Pułkownik spojrział na córkę. Przytulił ją i pocałował.

— Właśnie tego chcę, kochanie — powiedział łagodnie. — Jednak jutro idziemy do opactwa na kolację i, jak mówiłem, oboje musimy podchodzić do Gervaisa z otwartym sercem.

2

Jadąc z ojcem do opactwa, Charisa myślała o Vincencie. Odkąd dowiedziała się o jego śmierci, stale żałowała, że nie został kolejnym markizem Mawdelyn. Wtedy wszystko byłoby tak samo jak dotychczas. Uwielbiała Vincenta jako małą dziewczynka, chociaż on nią komen-derował. Zmuszał do gry w krykieta i wyda-wał jej rozmaite „rozkazy”, gdy przyjeżdżał ze szkoły do domu. Zawsze jednak był uprzejmy i wyrozumiały. Pamiętała, jak płakała w jego ramionach, kiedy użądliła ją osa. I jak zaniósł ją do domu, gdy upadła i skaleczyła się w stopę.

— Dlaczego on musiał umrzeć? — pytała z gniewem.

Zanim dojechali do opactwa, czuła zdener-owanie, chociaż nie chciała się do tego przy-

znać. Wydawało się to absurdalne, bo dotychczas przyjazd do opactwa był jak przyjazd do domu. Pomyślała, że do tej pory więcej czasu spędzała w tej posiadłości niż w domu ojca. Mogła korzystać z jej wszelkich uroków — jeździć konno, pływać po jeziorze małą łódką, bawić w pełnej owoców i kwiatów oranżerii i we wszystkich pokojach opactwa.

Grywała na pianinie w pokoju muzycznym, bo był większy niż u ojca, a pianino było wyższej klasy. Mogła brać z biblioteki wszystkie książki, jakie chciała. Tamtejsza służba rozpieszczała ją od dziecka.

— Przypuszczam, że Gervais będzie zachwycony, iż oczekuje go tak znakomita służba — zwróciła się do ojca, gdy wsiadali do powozu.

— Bąknął coś o przywiezieniu młodszych służących — odparł pułkownik.

Charisa wydała okrzyk zgrozy.

— Jak mogło mu przyjść do głowy coś tak głupiego? Większość tych rodzin służy tu od pokoleń, a jeśli on potrzebuje kogoś jeszcze, powinien zaangażować osobę z wioski.

Ojciec nie odpowiedział. Zapewne myślał o tym, że żadne z nich nie może się wtrącać w sprawę markiza, chyba że bardzo taktownie. Była to kolejna rzecz, która wprawiała Charisę

w zdenerwowanie. Gervais ma prawo przeprowadzić zmiany, ale jej zdaniem nie okażą się korzystne dla opactwa.

Weszli przez wielkie dębowe drzwi prowadzące do wielkiego hallu, który niegdyś był refektarzem klasztoru. Tutaj zakonnicy jedli posiłki i podejmowali gości. Zgodnie z tradycją mógł tu przyjść każdy, kto był głodny lub potrzebował wsparcia duchowego.

Charisie wydawało się, że nadal błądzą tu duchy zakonników. Za każdym razem, gdy przychodziła do opactwa, miała wrażenie, że wychodzą jej na spotkanie.

Teraz jednak był tu tylko stary kamerdyner, Dawkins, który służył w Mawdelyn od czterdziestu lat.

— Dobry wieczór, panienko Chariso! — powitał ją uprzejmie. — Dobry wieczór, sir.

— To znowu ja, Dawkins! — rzekł pułkownik. — Mam nadzieję, że wszystko w porządku i według życzenia jego lordowskiej mości.

— Mamy tylko nadzieję, że nie przeprowadzi zbyt wielu zmian — odparł Dawkins.

Charisa spojrzała na ojca, ale żadne z nich nic nie powiedziało. Poszli za Dawkinsem do salonu.

Był to jeden z najpiękniejszych pokoi w opactwie, odnowiony przez jej matkę na proś-

bę poprzedniego markiza. Pani Templeton zrobiła to wspaniale. Wstawiła parę mebli w stylu Ludwika XIV, które przywieziono do opactwa po rewolucji francuskiej. Na białych ścianach kazała zawiesić obrazy z tego okresu, wybrane z galerii malarstwa i innych pokoi. Kryształowy żyrandol był wyjątkowy i bardzo piękny, podobnie jak lustra przywiezione do Anglii z Włoch.

Członkowie rodu Mawde'ów byli wielkimi podróżnikami, pełnili też różne funkcje w zagranicznej służbie dyplomatycznej. Dzięki temu opactwo przekształciło się w skarbiec unikatowych prezentów, które otrzymywali, oraz niepowtarzalnych i pięknych przedmiotów, przywiezionych z podróży po całym świecie.

Kiedy Charisa była mała, zachwycała się fragmentami greckiego posagu, który jeden z przedstawicieli rodu Mawde'ów przywiózł do domu z poczuciem dumy i tryumfu. Bardzo lubiła również chińskie psy z porcelany, czuwające nad domem i odganiające od niego złe duchy. Co prawda trudno jej było uwierzyć, że jakieś złe duchy mogą niepokoić opactwo. Jej zdaniem panowała tam zawsze atmosfera świętości. Wiązała się ona z tym, że mnisi wzniesli budowlę własnymi rękoma i upiększyli ją na chwałę bożą.

Kiedy była mała, matka opowiedziała jej historię opactwa. Wyobrażała więc sobie zakonników modlących się podczas wznoszenia murów cegła po cegle. Wyobrażała sobie, jak śpiewali, ścinając drzewa, by zrobić z nich belki lub deski podłogowe. Późniejsze dekoracje ujawniały wysiłki mnichów pragnących doprowadzić wszystko do doskonałości.

Na każdym kroku Charisa dostrzegała przejawy piękna. Była pewna, że zakonnicy są nadal tak dumni ze swego opactwa jak wtedy, gdy je budowali.

W salonie paliły się wszystkie lampy, co nie zdarzyło się od lat. Stary markiz nie urządził wielu przyjęć, odkąd Vincent wyjechał do Indii. Kiedy weszli, pokój sprawiał bardzo odświeżające wrażenie. Charisa pomyślała, że nowy markiz chciał, by ta proszona kolacja stała się „zebraniem klanu”. Wszyscy zgromadzeni byli członkami rodziny i, rzecz jasna, Charisa i pułkownik dobrze ich znali. Przyjechały dwie starsze siostry poprzedniego markiza, które mieszkały w Domu dla Wdów. Rzadko bywały na kolacjach. Byli obecni liczni kuzyni mieszkający w okolicy. Niektórzy z nich zajmowali domy należące faktycznie do posiadłości markiza. Wśród zgromadzonych nie było młodych ludzi, prócz dwóch dwudziestokilkuletnich mężczyzn.

Charisa wiedziała, że przyjechali z daleka, by uczestniczyć w wieczornym przyjęciu. Przyglądając się zebranym, zauważyła wśród nich jednego nieznanego.

Kiedy zostali z ojcem zaanonsowani, Gervais stał tyłem do nich. Gdy Dawkins ogłosił ich przybycie, odwrócił się. Od pierwszego spojrzenia Charisa uznała, że jest bardzo podobny do rodziny Mawde'ów. Zauważyła typowe kwadratowe czoło i regularne, wyraziste rysy, charakterystyczne dla mężczyzn z tego rodu. Ponieważ miał wśród swych przodków Francuzów, jego włosy i oczy były ciemniejsze niż u innych Mawde'ów.

Gdy zbliżał się do nich, Charisa stwierdziła, że nie jest zbyt wysoki i że jednak odróżnia go od otoczenia coś, dla czego nie umiała znaleźć nazwy.

Najpierw podszedł do pułkownika i podał mu rękę.

— Miło widzieć cię znowu — powiedział.

Potem przyjrzał się Charisie.

— Czy to moja piękna kuzynka, o której tyle słyszałem?

Charisa uśmiechnęła się do niego.

— Myślę, że powinnam powiedzieć: „Witaj w opactwie”. Ostatnio widzieliśmy się, kiedy miałam cztery lata!

— Jak mogłem być tak opieszwały i aż do dzisiaj nie pojawić się w Anglii? — rzekł markiz.
— Powiniennem przewidzieć, że śliczne dziecko stanie się piękną kobietą!

Mówił miłe słowa, ale Charisa czuła, że przychodzi mu to zbyt gładko. Była pewna, że mówił coś takiego już wcześniej wiele razy. Zbeształa się jednak w duchu za tę krytyczną opinię. Obiecała przecież ojcu, że potraktuje Gervaisa normalnie, bez uprzedzeń.

Podeszła do innych krewnych. Serdecznie ucałowała stare ciotki z Domu dla Wdów.

— Nigdy wcześniej was nie widywałam na kolacjach, a wiecie, jak często papa i ja zapraszaliśmy was do siebie.

— Wiem, dziecko kochane — odparła jedna ze starszych pań — ale kuzyn Gervais tak bardzo nalegał, że nie mogliśmy mu odmówić.

Zabrzmiało to tak, że Charisa nabrała przekonania, iż Gervais postanowił być miły dla wszystkich. Prawił paniom komplementy, wywołując niekiedy rumieńce na ich twarzach. Był bardzo uprzejmy dla panów.

— Musicie mnie nauczyć wielu rzeczy, bo długo mieszkałem we Francji — powiedział rozbijając. — Mówcie mi więc, co robię źle, a obiecuję, że będę wdzięczny i nie poczuję się urażony.

— Zrobimy, co się da, byś się stał typowym posiadaczem ziemskim — życzliwie odparł jeden z kuzynów. — Przypuszczam, że lubisz jazdę konną. Nie było jeszcze Mawde'a, który by nie czuł się wspaniale w siodle.

— Codziennie jeżdżę po parku Bois w Paryżu — odpowiedział Gervais — ale sam wiem, że to nie to samo co jeździć na polowania lub objeżdżać pola.

Panowie się roześmieli, a Charisa uznała, że jest dowcipny. Potrafił wywołać wrażenie, że wszyscy są mile widziani. Był też na tyle mądry, by poprosić jej ojca o radę zaraz po przyjeździe.

Usiadł u szczytu stołu na krześle z wyrzeźbionymi herbami rodu Mawde'ów. Charisie zawsze przypominało ono tron. Gervais wyglądał na nim niczym król.

Jak zwykle w opactwie jedzenie było znakomite. Przy stole usługiwali Dawkins i jeden z lokajów, w milczeniu, w sposób budzący podziw wszystkich podejmowanych tu gości. Do picia podano szampana i wspaniałe białe wino. Charisa zobaczyła, że ojciec przygląda się swojemu kieliszkowi ze zdziwieniem. Pomyślała, że ten gatunek wina nowy markiz przywiózł pewnie ze sobą z Francji. Było go bardzo dużo.

Pod koniec kolacji znikła wszelka nieśmiałość wśród członków rodziny. Wszyscy się

śmiali i rozmawiali z niezwykłym ożywieniem. Było to dziwne w przypadku starszych przedstawicieli rodu.

Pod koniec przyjęcia markiz zwrócił się do damy siedzącej po jego prawej stronie:

— Proszę mnie pouczyć. Jak wiecie, w Paryżu dżentelmeni wychodzą z jadalni z paniami. Jednak tutaj muszę postępować jak Anglik, więc czy zechciałyby pani zabrać damy? Zamierzam opowiedzieć kilka historii niezbyt odpowiednich dla ich delikatnych uszu.

Dama się uśmiechnęła, wstała i skierowała do wyjścia, a za nią podażyły inne panie. Gdy weszły do salonu, wszystkie zaczęły mówić naraz.

— Jest czarujący, naprawdę czarujący!

— Oczywiście, czasami mówi rzeczy typowe dla Francuzów, ale niedługo stanie się podobny do nas.

— Muszę się przyznać, że byłam zdenerwowana, przychodząc tu dziś wieczorem. A teraz zupełnie mnie zawojował!

Powtarzały wszystkie tego typu opinie raz za razem. Charisa poszła na górę do pokoju przygotowanego na wypadek, gdyby któryś z gości chciał się nieco ogarnąć. Czekała tam jedna ze starszych pokojówek. Zobaczywszy Charisę, rzekła:

— Miałam nadzieję, że panią tu spotkam, panno Chariso.

— Dobry wieczór, pani Bush. Wszystko w porządku?

Po chwili milczenia pokojówka odparła:

— Mam nadzieję, panienko, z całego serca pragnę w to wierzyć, ale nie chcę powiedzieć za dużo przed czasem.

— Wydaje się, że jego lordowska mość stara się wszystkim dogodzić — zauważyła Charisa trochę prowokująco.

— To samo mówi pan Dawkins — oznajmiła pani Bush — ale czuję przez skórę, że nastąpi tu duże zmiany.

— Dlaczego pani tak sądzi? — spytała Charisa.

— To tak samo pewne jak to, że stoję przed panią — odrzekła pani Bush. — Cóż, mam nadzieję, że gdyby się coś działo, pułkownik nam pomoże.

— Oczywiście, że tak, ale myślę, że niepotrzebnie się pani martwi. — Zobaczyła zadowolony wyraz twarzy gospodyni i dodała: — Gdyby kiedyś potrzebowała pani pomocy mego ojca, wystarczy wysłać parobka z listkiem. Wie pani, że papa zaraz się zjawi i spróbuje wszystko załatwić.

— Mam nadzieję, panienko, że nie będę musiała kłopotać pułkownika, ale coś mi mówi, że nie trzeba się spodziewać za wiele.

Charisa usiadła przy toalecie i poprawiała włosy. W tym momencie weszła jedna z jej starszych kuzynek. Nie było już okazji, by kontynuować rozmowę z panią Bush.

Jednak gdy wracała do salonu, czuła niepokój. Wiedziała, że ani Dawkins, ani pani Bush nie szukali dziury w całym. Podejrzewała, że oboje obawiają się, iż markiz uzna ich za zbyt starych na służących. Żadne z nich nie miało ochoty iść na emeryturę.

Gervais nie będzie tak głupi, by ich zwolnić, skoro prowadzą cały dom — uspokajała się w duchu. Mimo to czuła pewną obawę. Może on zechce mieć w opactwie francuską służbę, co byłoby niewskazane. Dla miejscowych chłopców i dziewcząt służba w domu markiza stanowiła wyróżnienie. Gdyby pozbawiono ich tego przywileju, gorąco by protestowali. Zwłaszcza gdyby intruzami byli cudzoziemcy. Zarówno bowiem mieszkańcy wsi, jak i majątku nie lubili obcokrajowców. Wiedziała o tym dobrze.

— Jestem pewna, że papa wyjaśnił to markizowi — powiedziała do siebie, wchodząc do salonu.

Panie nadal rozmawiały o markizie.

— To zdumiewające — ekscytowała się jedna z nich — że on się jeszcze nie ożenił! Przecież jest powyżej trzydziestki, bo Simon, jego

ojciec, ożenił się o wiele wcześniej niż Richard, a Gervais był jego najstarszym bratankiem.

— A ja tak lubiłam Vincenta — powiedziała jedna z kuzynek ze smutkiem.

— Ja też — przyznała inna. — Często myślałam, że skoro jest najbliższym spadkobiercą George'a, popełnia duży błąd, wstępując do wojska i narażając życie.

— A ja uważam za dziwne, że nie przysłano jego ciała do kraju, by można je było pochować w rodzinnym grobowcu! — wtrąciła kolejna kuzynka. — Czyż nikt nie powiedział dowódcy pułku Vincenta, że tego się wszyscy spodziewaliśmy?

— Myślę, że papa wyjaśnił to w Ministerstwie Wojny — podkreśliła Charisa — ale wiem, że były jakieś kłopoty z identyfikacją ciała Vincenta.

— W każdym razie muszą się zdecydować na coś teraz, bo inaczej Gervais nie będzie mógł używać szlacheckiego tytułu — oświadczyła stanowczym tonem jedna z ciotek. Przerwała, po czym zwróciła się do Charisy: — Porozmawiam z twoim ojcem i powiem, że musi jeszcze raz pojechać do ministerstwa i nalegać, by Vincent został w końcu pochowany ze wszystkimi innymi Mawde'ami!

Charisa odeszła na bok. Zdenerwowały ją te rozmowy na temat Vincenta. Wydawało jej się,

że wystarczy wyrzeć przez okno, by zobaczyć go idącego przez ogród. Uwielbiał wysokie, przyszczyżone żywopłoty. Ćwiczył strzelanie z łuku na rozległym trawniku, który widziała właśnie z miejsca, gdzie przystanąła.

— Dlaczego chcesz używać łuku i strzał zamiast posługiwać się strzelbą? — spytała, gdy była bardzo małą dziewczynką.

— Ponieważ chce być mistrzem i w tym, i w tym! — odpowiedział. — Strzelanie z łuku jest trudniejsze niż z broni palnej. Sama spróbuj.

Kiedy próbowała po raz pierwszy, była zbyt mała, by napiąć cięciwę. Vincent jej pomógł. Gdy dorosła, proponowała mu zawody, kto zdobędzie więcej punktów. Zawsze Vincent wygrywał, ale ona bardzo lubiła jego towarzystwo. Kiedy szedł na polowanie, pozwalał jej chodzić z sobą i nosić upolowaną zwierzynę w specjalnej torbie.

Wróciła do terażniejszości. Panowie dołączyli ponownie do pań. Charisa zdała sobie w tym momencie sprawę, że jedną z rzeczy wyróżniających Gervaisa jest zbyt obcisły strój. Może należałoby powiedzieć, że był zbyt elegancki. Nie miał na sobie niczego, co nie byłoby wypracowane i oficjalne. Obserwując go, Charisa doszła do wniosku, że cały czas jest bar-

dzo napięty. Miał na podorędziu komplementy, żarty, przymilne prośby o pomoc. Jest za gładki — pomyślała i ponownie skarciła się za zbyt krytycyzm.

Pod koniec wieczoru, gdy część starszych krewnych zaczęła się rozjeżdżać do domów, Gervais zwrócił się do pułkownika:

— Chcę coś zaproponować i mam nadzieję, że się zgodzisz.

— O co chodzi? — spytał pułkownik.

— Ponieważ mam z tobą tyle do omówienia i, jak wiesz, tylu rzeczy muszę się nauczyć, może byście przyjechali tu z Charisą na kilka dni? A może co najmniej na tydzień?

Pułkownik był zaskoczony.

— Naprawdę tego chcesz?

— Bardziej, niż umiem to wyrazić — odparł Gervais. — Po pierwsze, nie chcę być sam. Po drugie, ponieważ zaprosiłem kilku moich przyjaciół z Paryża i chciałbym, byście ich poznali. A po trzecie, całkiem egoistycznie, potrzebuję waszej pomocy.

Mówił tak szczerze, że pułkownikowi nie pozostało nic innego niż zapewnić:

— Ależ oczywiście, o ile naprawdę będę mógł ci pomóc.

— Nie umiem wyrazić, jak bardzo będę wdzięczny, jeśli to zrobisz. Jestem pewien, że

Charisa pokaże mi najdogodniejsze tereny do jazdy konnej i wywiąże się z tego lepiej niż ktokolwiek inny.

Od czasu śmierci markiza Charisa bywała w opactwie dwa lub trzy razy w tygodniu, by pomóc objeżdżać konie. Swego czasu pułkownik powiedział:

— Wiesz równie dobrze jak ja, że parobcy stają się niedbali, gdy nikt ich nie pilnuje! Zatem, kochanie, musisz postawić sprawę jasno, że nie tylko jeździsz konno, ale i nadzorujesz ich!

Charisa dokładnie wiedziała, co miał na myśli. Abbey, główny stajenny, był już stary i cierpiał na reumatyzm. Ponieważ nie zawsze był na miejscu, młodszy parobcy powoli zaniedbywali swe obowiązki. A jedyną rzeczą, której Charisa nie mogła znieść, to brak troski o konie. Zresztą zakupił je dla poprzedniego markiza jej ojciec. Dziewczyna podejrzewała, że zapłacił własnymi pieniędzmi za niemałą ich liczbę. Markiz na starość nie lubił pokonywać konno długich odległości, bo go to nudziło, poza tym tracił już dobrą formę. Chciał jednak, by jego stajnie były na odpowiednim poziomie. Pragnął mieć dobre konie dla Vincenta po jego powrocie z Indii. Mogli też na nich jeździć wszyscy krewni składający wizyty w opactwie. Dlatego pułkownik

dbał o stajnie markiza i robił wszystko, by jego stado było utrzymane w równie dobrej kondycji jak jego własne. I rzeczywiście, Charisa często z trudem rozpoznawała, które konie należą do markiza, a które do ojca. W gruncie rzeczy interesowała ją jedynie możliwość jazdy konnej. Lubiła wszystkie wierzchowce jednakowo. Teraz uśmiechnęła się do markiza i powiedziała:

— Oczywiście, pokażę ci wszystko. W lasach są miejsca, które pokochasz, tak samo jak równiny znakomite do galopu.

— Zatem wybierzemy się tam jutro — odparł Gervais. — Będę niecierpliwie czekał na twój przyjazd.

Kiedy w chwilę potem żegnali się, jeszcze raz powtórzył zaproszenie, by się upewnić, że nie zmienili zdania. Charisa podała mu rękę.

— Dobranoc, kuzynie. Dziękuję za wspólną kolację!

Gervais ujął jej dłoń i niespodziewanie uniósł do ust. Pocałował ją delikatnie. Nie był to tylko zwykły odruchowy gest. W tym momencie Charisa poczuła przenikający ją dziwny dreszcz. Już po chwili sama nie bardzo wierzyła w swe odczucia.

Gervais puścił jej rękę i Charisa zbiegła po schodach do oczekującego na nią powozu.

Wówczas zrozumiała, że w istocie poczuła wstręt. Ale dlaczego...? — nie umiała sobie tego zupełnie wyjaśnić.

Jechali wraz z ojcem w milczeniu przez dłuższy czas. W końcu pułkownik odezwał się:

— Więc już go widziałaś. Co o nim sądzisz?

— Miałam właśnie zadać ci to samo pytanie — odpowiedziała Charisa.

— Na pewno jest bardzo dobrym gospodarzem — zauważył pułkownik. — Wychodził z siebie, by być miłym dla wszystkich.

— Nadal nie mówisz, co naprawdę o nim myślisz, papo! — rzekła z wyrzutem Charisa.

— Szczerze mówiąc, nie wiem, kochanie. Odniosłem wrażenie, że jest zbyt gładki i za bardzo stara się wszystkim przypodobać.

— Czy myślisz, że oczekiwał krytyki? — spytała Charisa.

— Oczywiście! Jest bardzo inteligentny. Zdaje sobie sprawę, że skoro całe życie mieszkał we Francji, krewni będą przyglądać mu się podejrzliwie — odpowiedział pułkownik.

— Rozumiem, papo, masz rację.

— Uważam, że w tych okolicznościach pokonał pierwsze przeszkody bardzo dobrze.

— Po kolacji wszystkie panie w salonie się nim zachwycały, mówiąc, że jest czarujący.

— O to właśnie mu chodziło i na pewno czuł się swojsko wśród mężczyzn.

— Sądzę więc, że nie powinniśmy go krytykować — powiedziała cicho Charisa.

Nadal podczas rozmowy zastanawiała się nad dziwnym odczuciem, jakiego doznała, gdy Gervais pocałował ją w rękę. Pewnie dlatego, że zrobił to niespodziewanie — myślała. — Anglicy nie mają zwyczaju całować w rękę obcych młodych kobiet.

Ale nie potrafiła sobie jasno tego wytłumaczyć. Było to jak błyskawica. Nie chciała poruszać z ojcem tego tematu. Wiedziała jednak, że nadal będzie ją to nurtowało. Po przyjeździe do domu pożegnała się, ale idąc na górę do sypialni, zwróciła się jeszcze do ojca:

— Nie jedźmy jutro zbyt wcześnie do opactwa, papo. Mam wiele do zrobienia przed wyjazdem.

— Też tak sędzę. Pojedziemy w porze herbaty. Będzie wystarczająco wcześnie.

Kiedy Charisa znalazła się w swej sypialni, opadły ją dziwne myśli. Dlaczego nie miała ochoty jechać do opactwa? Zawsze do tej pory wybierała się tam z radością. Stary markiz często zapraszał ich do siebie na noc. Wtedy myślała o tym jako o przygodzie, o czymś, co sprawia jej prawdziwą przyjemność. A teraz, o dziwo,

nie kwapiła się do wyjazdu. Nawet myśl o czekających tam na nią koniach nie stanowiła wystarczającej zachęty.

Podeszła do okna i wyrzała na dwór w ciemności.

Dlaczego mam takie wrażenie? Czemu nie zaakceptowałam Gervaisa jak inni nasi krewni i nie uważam, że jest miły i czarujący? — zadawała sobie pytania.

W końcu gdy rozebrała się i położyła do łóżka, powiedziała sobie, że jest bardzo niemądra. Opactwo stanowiło ważną część jej życia. Wszyscy członkowie rodziny Mawde'ów, z której wywodziła się jej matka, byli jej bliscy.

— Muszę go polubić... po prostu muszę!
— powiedziała na głos.

Nawet gdy to mówiła, czuła, że coś się w niej kurczy na samą myśl o nim. Ze zgrozą wzdrygnęła się na wspomnienie dotyku jego ust.

Nie wolno mu więcej tego zrobić! — postanowiła. Minęło jeszcze dużo czasu, zanim udało jej się zasnąć.

Wynikło to stąd, że wczoraj wieczorem byliśmy raczej uprzedzeni — tłumaczyła sobie Charisa następnego ranka. Wszystkie wydarzenia nabrały wyjątkowego znaczenia. Działo się tak, bo po prostu w opactwie pojawił się

nowy markiz. A przecież w przeszłości zapewne nieraz zdarzało się, że nieznani członkowie rodziny dziedziczyli tytuł i posiadłość. I oni także, jak nowy markiz, musieli być przekonani, że konieczne jest wywarcie dobrego wrażenia.

On po prostu przesadził... na tym to polega — doszła do wniosku Charisa.

Kiedy zeszła na śniadanie, zobaczyła, że ojciec czyta list, który właśnie nadszedł.

— Dzień dobry, kochanie — powitał ją. — Mówiąc prawdę, nie pasuje mi dzisiejszy wyjazd. Kilka osób bardzo chce się ze mną spotkać. Muszę ich poprosić, by przyjechali do opactwa, bo inaczej będą jeździć tam i z powrotem.

— Po prostu zawiadom markiza, że ważne powody uniemożliwiają ci skorzystanie z zaproszenia jego lordowskiej mości — podsunęła Charisa.

— Chciałbym tak zrobić, ale dobrze wiesz, że nie możemy go zawieść, bo on polega na mnie i oczywiście na tobie.

— Nie chcę, by on na mnie liczył — powiedziała ostro Charisa.

Wzięła sobie przekąski ze srebrnego półmiska stojącego na kredensie. Usiadła przy stole i dodała:

— Posłuchaj, papo. Jeśli on powie jeszcze słowo o poślubieniu mnie, wyjaśnij, że nie powinno być na ten temat żadnych dyskusji przez kilka miesięcy... co najmniej sześć.

Ojciec przyjrzał się jej badawczo i spytał:

— Chcesz powiedzieć, że poczułaś niechęć do Gervaisa?

— To nie jest dosłownie niechęć — rzekła Charisa z namysłem — ale on jest bardzo dziwny i zupełnie inny od Vincenta i, w pewien sposób, od wujka George'a. — Zawahała się i mówiła dalej: — Myślę, że byłoby rozsądnie poprosić go o pewien czas, by sprawdzić, czy się „dopasował”, jak byś to określił.

Pułkownik roześmiał się.

— Dobrze wiem, co masz na myśli, i oczywiście, przyznaję ci rację! Nie ma pośpiechu, a jeśli chodzi o małżeństwo, wiesz, że chcę twego szczęścia, twego prawdziwego szczęścia u boku mężczyzny, który jest ciebie wart.

Charisa uśmiechnęła się do ojca.

— Dziękuję, papo. Zawsze mnie rozumiesz, a wiem, że choć on jest z rodu Mawde'ów, mama także wolałaby, żebym poczekała i przyjrzała mu się, zanim podejmę taką czy inną decyzję.

— Oczywiście — zgodził się pułkownik. — Zostaw to mnie, kochanie. Myślę po prostu, jak już mówiłem, że on postępuje jak Francuzi

zamiast, na sposób angielski, dać sobie trochę czasu, co jest o wiele rozsądniejsze.

— „Dać sobie trochę czasu” to odpowiednie określenie — przyznała Charisa.

Rano Charisa jeździła z ojcem konno, bo pułkownik chciał odwiedzić jedno ze swoich gospodarstw. Kiedy wrócili na lunch, na stole leżał wielki bukiet orchidei. Dziewczyna spojrzała na nie zdziwiona. Potem zauważyła, że jest również list do ojca.

— Kwiaty i list przysłano pół godziny temu, panienko Chariso, przez służącego z opactwa — wyjaśnił kamerdyner.

— Domyśliłam się, że muszą być stamtąd — odparła. — Proszę wstawić je do wody.

— Oczywiście, panienko.

Odwróciła się, ale kamerdyner powiedział:

— Jest jeszcze liścik przy kwiatach, panienko.

Charisa dostrzegła karnecik ze słowami: „Dla najpiękniejszej z moich kuzynek z pozdrowieniami od Gervaisa”.

Przeczytała tekst ze zdumieniem i wręczyła liścik ojcu. Pułkownik czytał właśnie list adresowany do niego.

— Gervais ma nadzieję, że nie zapomnieliśmy o jego zaproszeniu, i spodziewa się naszego

przyjazdu jak najszybciej po lunchu — oświadczył.

Potem spojrział na karnecik, który wręczyła mu córka. Na moment zmarszczył brwi.

— To bardzo francuskie. On ponownie „idzie na skróty”.

Sposób, w jaki to powiedział, rozśmieszył Charisę. Idąc na górę, pomyślała sobie, że błędem było traktowanie Gervaisa zbyt poważnie. On podjął się pewnej roli i grał ją bardzo dobrze. Jednak ani ona, ani jej ojciec nie dali się nabrać.

Weszła do swej sypialni. Myślała, że gdyby ojciec nie był tak zamożnym człowiekiem, Gervais nie siliłby się na taką grzeczność, również w stosunku do niej. Musiał znać w Paryżu wiele kobiet, z którymi mógłby się ożenić, gdyby chciał. Ale ponieważ wtedy nie zajmował tak wysokiej pozycji społecznej jak teraz, może to one nie miały ochoty na małżeństwo. Francuzki mają bardzo praktyczne podejście do takich spraw — uświadomiła sobie Charisa. W przeciwieństwie do niej może nie były spadkobierczyniami majątku, a ona dziedziczyła wszystko jako jedynaczka.

Gervais może zamydlić oczy większości ludzi, ale nie mnie! — stwierdziła w duchu.

Zdjęła strój do konnej jazdy i włożyła śliczną suknię, po czym zeszła na dół, gdzie czekał na nią ojciec.

— Lunch już gotowy — oznajmił — ale nie musimy się śpieszyć. Nie mam zamiaru jechać do opactwa przed terminem, który uzgodniliśmy.

— Spodziewałam się, że to powiesz — przyznała Charisa.

Otoczyła go ramieniem, gdy szli korytarzem do jadalni.

— Kocham cię, papo, i cieszę się, że nie „spłoszył” cię jakiś niedoświadczony żreback.

— Nie wiem, czy niedoświadczony — zastanowił się ojciec. — Sądzę, że to raczej sprawa przetrenowania, a może, innymi słowy, nadgorliwości.

Charisa uśmiechnęła się.

— Może to nieco nieuprzejme, papo, ale nie mogę oprzeć się wrażeniu, że niebagatelną rolę odgrywają tu twoje pieniądze.

Ojciec pokiwał głową.

— Zrozumiałem to wczoraj, gdy Gervais zwierzył mi się, że ma wielkie kłopoty finansowe.

Charisa spojrzała na niego z osłupieniem.

— Przyznał się, że nie ma w ogóle pieniędzy?

— Bardzo mało — odparł pułkownik. — Już Matthews ostrzegł mnie, gdy mu powiedziałem o śmierci Vincenta, że ojciec Gervaisa umarł, tonąc w długach.

Charisa wiedziała, że Matthews był radcą prawnym w majątku Mawdelyn.

— Najwidoczniej stary markiz spłacał te długi i dawał Gervaisowi co rok pewną sumę na utrzymanie, jak zresztą wielu innym członkom rodziny Mawde'ów.

Przez chwilę ojciec milczał, a Charisa czekała, wiedząc, że ojciec zastanawia się, czy powinien mówić dalej. W końcu poprosiła:

— Powiedz mi wszystko!

— Cóż, według Matthews'a Gervais był zupełnie spłukany i zawsze prosił markiza o więcej. Radca ostrzegał George'a kilkakrotnie, że Gervais nie jest jedynym członkiem rodziny potrzebującym wsparcia, ale ponieważ wujek był miłym człowiekiem, zwykle dawał mu więcej pieniędzy.

— Nic dziwnego, że Gervais był zachwycony, gdy doszedł do tytułu! I do większych pieniędzy, niż w życiu posiadał! — skomentowała Charisa.

— Ale one nie wystarczą na utrzymanie domu i całego majątku na dotychczasowym poziomie — zauważył pułkownik.

— Chyba że udzielisz mu takiej samej pomocy jak jego wujowi.

— Pomagałem George'owi, bo bardzo go lubiłem — wyjaśnił ojciec. — A to coś zupełnie

innego niż mieć na karku młodzieńca, którego ujrzałem dopiero wczoraj, a który ma opinię utracjusza.

— Więc dlatego uważa, że jedyną szansą jest dla niego małżeństwo ze mną!

Ojciec niespodziewanie uderzył ręką w stół.

— Nie będę cię zmuszał do zrobienia czegoś, czego nie chcesz!

— Dziękuję, papo! I co masz zamiar zrobić w przypadku Gervaisa?

— Trochę mu pomogę, jeśli będę pewny, że powinienem, ale tak jak ty nie będę się zmuszał! — odparł ojciec.

Oboje się roześmieli. Po chwili Charisa odezwała się:

— W pewien sposób to mnie obraża. Nie znoszę myślenia o tych wszystkich intrygach związanych z opactwem. Ale przypuszczam, że jak każdy młody człowiek w tej sytuacji Gervais jest zdesperowany i chwyta się wszystkiego.

— Może tak być — przyznał ojciec. — Zgodziliśmy się co do tego, że będziesz mieć czas na przemyślenie sprawy i nie zrobisz niczego pośpiesznie.

— Jesteś taki rozsądny, papo — powiedziała Charisa. — Jednak to może być trudne. Proponuję, byśmy nie zostawiali w opactwie dłużej, niż to będzie konieczne.

— Wrócimy do domu natychmiast, gdy mnie o to poprosisz — rzekł, uśmiechając się, pułkownik. — Jestem jednak pewien, że Gervais będzie bardzo dowcipny i będą jeszcze inni goście, więc może uznasz, że się dobrze bawisz.

— Mam taką nadzieję, papo — odparła Charisa. Jednak w jej głosie brzmiała nuta wyraźnego powątpiewania.

scandalous

3

Charisa krzątała się jeszcze po pokoju, porządkując i układając różne rzeczy, gdy powóz zajechał pod dom. Wiedziała, że ojciec nie lubił, gdy konie musiały czekać. Wobec tego wetknęła wazon i kilka drobiazgów w ręce służącej, mówiąc:

— Weź to ode mnie, Mary, i nie schowaj tego tak, żebym po powrocie nie mogła nic znaleźć.

Pokojówka, która służyła jej od kilku lat, roześmiała się.

— Oczywiście, panienko, niech panienka wraca prędko, bo brak nam jej w domu.

— Mnie też będzie ciebie brakowało — odparła Charisa.

Jadąc do opactwa, nigdy nie zabierała własnej służby. Tamtejsza gospodyni, którą znała

od dziecka, lubiła sama się o nią troszczyć. Ojciec natomiast zabrał lokaja, bo nigdzie się bez niego nie ruszał. Wilkins pojechał wcześniej z bagażem, by rozpakować i przygotować wszystko przed przyjazdem pana.

Charisa wzięła kapelusz od słońca, pasujący do jej sukni, i zbiegła po schodach. Pułkownik czekał w hallu.

— Pośpiesz się, pośpiesz! — ponaglił tonem nawykłym do rozkazów. — Przez nas konie się denerwują!

Charisa tylko się uśmiechnęła. Przyspieszyła jednak kroku i wskoczyła do powozu. Ojciec również wsiadł.

Gdy ruszyli, odezwała się:

— To naprawdę kłopot jechać do opactwa, kiedy jest tyle do zrobienia w domu! Ale jestem pewna, że niezależnie od stosunku Gervaisa do mnie nie da on sobie rady bez ciebie!

— Masz rację — przyznał ojciec. — Dozszedłem do wniosku, że on bardzo mało wie na temat angielskiego trybu życia, a w jego wieku nie będzie łatwo nauczyć się nowych zwyczajów.

Charisa uśmiechnęła się.

— Jestem pewna, że przekonasz się, iż da się go przystosować, a przynajmniej będzie chciał się nauczyć.

— Na pewno wykaże dobrą wolę — odparł krótko pułkownik.

Dojechali do wąskiej dróżki. Patrząc wokół, Charisa pomyślała, że okolica jest tu naprawdę piękna. Uwielbiała te tereny wiosną, gdy wszędzie kwitły żonkile, pierwiosnki i fiołki. Zachwycała się nią teraz latem, gdy słychać było brzęczenie pszczoł, a zboże złociło się na polach. Wiedziała, że tylko dzięki jej ojcu zbiory w Mawdelyn są prawie tak dobre jak u nich.

Gervais powinien być naprawdę bardzo wdzięczny papie — pomyślała.

Konie dojechały do skraju wsi. Na ich widok pastor wybiegł z plebanii i zaczął machać rękoma. Woźnica wstrzymał konie. Pastor, mężczyzna w średnim wieku, lekko posiwiaty, podszedł do powozu.

— Właśnie się do pana wybierałem, pułkowniku — oznajmił.

— Przykro mi, ale Charisa i ja zostaliśmy zaproszeni na kilka dni do opactwa i teraz tam jedziemy.

Pastor wyglądał na tak bardzo zmartwionego, że pułkownik zapytał:

— W jakiej sprawie chciał się ojciec ze mną widzieć? Czy to pilne?

— Myślę, że tak — odpowiedział pastor.

— Nie chcę państwa zatrzymywać, ale czy moglibyście wstąpić na kilka minut na plebanię?

— Oczywiście, wejdziemy — zgodził się pułkownik.

— To bardzo miłe z pana strony. Nie chciałbym sprawiać kłopotu, ale potrzebuję pańskiej rady — dodał przepraszającym tonem pastor.

Zarówno woźnica, jak i parobek siedzący na koźle słyszeli jego słowa. Gdy pastor otworzył bramę prowadzącą na niewielkie podwórze, skręcili zaprzęgiem i podjechali pod dom.

Charisa wiedziała, że plebania jest bardzo ładna i wygodna i że ma ponad pięćdziesiąt lat. Obecnie było w niej dużo miejsca, bo dzieci pastora już dorosły i wyprowadziły się z domu. Charisa rzuciła okiem na piękny ogród, uprawiany z zamiłowaniem przez panią Taylor.

Gdy wraz z ojcem weszła do hallu, poczuła zapach róż ustawionych na stołach. W pokoju, do którego wprowadził ich pastor, także stało kilka wazonów z kwiatami.

Charisa wiedziała, że to szczególnego rodzaju gabinet, w którym pastor pisze kazania. Całe ściany zastawione były książkami. Tu przed rokiem pastor uczył ją literatury angielskiej. Był wyjątkowo inteligentny i uwielbiała te lekcje. Zazwyczaj kończyły się dyskusjami nie

tylko o literaturze, ale i na wszelkie możliwe tematy. Często myślała, że ma dużo szczęścia, iż w wiosce jest ktoś, kto może ją tyle nauczyć. Interesowała się nie tylko współczesnością, ale i rozwojem cywilizacji od jej początków.

Tego ranka widziała już pastora, gdy poszła do wioski kupić coś w miejscowym, dobrze zaopatrzonym sklepiku. Dlatego pastor nie zaczął od powitania, ale zwrócił się do niej, gdy usiadła:

— Wybacz, Chariso, jeśli śpieszy ci się do opactwa.

— Nie śpieszy mi się. Mówiąc prawdę, ani papa, ani ja nie mamy właściwie czasu, by tam zostać.

Gdy to mówiła, zorientowała się, że pastor nie słucha. Patrzył na jej ojca i widać było, że się czymś bardzo martwi.

— Więc o co chodzi, pastorze? — spytał pułkownik.

— Poszedłem z wizytą do opactwa dziś rano — zaczął pastor — i czekałem jakiś czas, bo jego lordowska mość nie zszedł jeszcze na śniadanie, ale w końcu się z nim spotkałem.

Pułkownik słuchał uważnie. Charisa wiedziała, że zastanawia się, co się mogło wydarzyć i dlaczego pastor jest taki poruszony.

— Jak pan wie, nie znałem wcześniej markiza, bo mieszkam tu od dwunastu lat.

— Zgadza się, pamiętam — potwierdził pułkownik. — Od tamtej pory wszyscy się cieszymy, że mamy takiego pastora.

— Jak panu wiadomo — ciągnął pastor — stary markiz był dla mnie bardzo łaskawy i przyjazny. Naprawdę było mi tu bardzo dobrze.

— I mam nadzieję, że będzie tak jeszcze długie lata! — odparł pułkownik.

— Właśnie o tym chciałem z panem pomówić — rzekł pastor.

Pułkownik był zaskoczony. Charisa zauważyła, że wyprostował się na krześle.

— Co się wydarzyło dziś rano? — spytał ostrym tonem.

— Przywitałem się z jego lordowską mościami, potem powiedziałem, że jestem obecnym proboszczem, i wyraziłem nadzieję, że będę mógł mu służyć, podobnie jak jego wujowi.

Zapadło milczenie, po chwili pastor kontynuował:

— Jego lordowską mość chyba nie wiedział, że powinien łożyć na utrzymanie proboszcza. Wyjaśniłem mu, że każdy kolejny markiz Mawdelyn ma prawo wyznaczać proboszcza i płacić za jego posługę. Był chyba zaskoczony. „Jestem nie tylko pastorem w wiosce i całej posiadłości, ale także osobistym kapelanem jego lordowskiej mości” — powiedziałem.

Przyjrzał mi się, ale się nie odezwał, więc mówiłem dalej: „Wujek jego lordowskiej mości przychodził na nabożeństwa do kościoła w parafii i zawsze czytał nauki”. Nowy markiz wykrzyknął: „Czytał nauki?!” „Tak, milordzie — odpowiedziałem. — To tradycja od wielu pokoleń”.

— Och, oczywiście! — przerwał pułkownik. — Powinienem być się zastanowić, czy on o tym wie!

— Potem wyjaśniłem jego lordowskiej mości, że raz w miesiącu odprawiam nabożeństwo w dużej kaplicy w opactwie, bo nie zawsze jest możliwe, by wszyscy domownicy, zwłaszcza jeśli jest przyjęcie, uczestniczyli w nabożeństwie w kościele parafialnym.

— Zawsze uważałam, że to bardzo rozsądne — oświadczyła Charisa. — Niektóre ze służących są w zbyt podeszłym wieku, by szybko iść do kościoła, a potem śpieszyć się z powrotem, a mają dużo do roboty i rano, i wieczorem.

— Miałem właśnie wytłumaczyć to jego lordowskiej mości, gdy powiedział mi, że przywiózł z sobą z Francji własnego kapelana!

Przez chwilę zarówno pułkownik, jak i Charisa milczeli zdumieni. W końcu pułkownik wybuchnął:

— Swego własnego kapelana?! Dobry Boże! Czy wyobrażacie sobie, że markiz, mieszkając

we Francji, stał się katolikiem? Nigdy mi to nie przyszło do głowy!

— Tego nie powiedział — odparł pastor.
— Stwierdził jedynie, że nie będę więcej odprawiał nabożeństw w opactwie!

Był zmartwiony jak nigdy w życiu.

— Mam także wrażenie, pułkowniku, że będzie chciał osadzić swego prywatnego kapelana na moim miejscu!

— Nie, tego oczywiście nie mógłby zrobić!
— odrzekł stanowczo pułkownik. — Jest ojciec niezastąpiony dla całej wioski i wszyscy w sąsiedztwie go bardzo lubią.

— To prawda — wtrąciła Charisa. — Sądzę, że doszłoby do rewolucji, gdyby Gervais zasugerował tylko coś takiego!

— Muszę podkreślić — rzekł pastor pośpiesznie — że jego lordowska mość nie powiedział, że chce, bym odszedł. Ja tylko czułem, że chodzi mu to po głowie, gdy opowiadał o swoim kapelanie.

— Nie powiedział, czy jest to Francuz, czy Anglik? — spytał pułkownik. Pastor pokręcił głową. Pułkownik zastanawiał się chwilę, po czym zdecydował:

— Proszę zostawić to mnie. Wytłumaczę Gervaisowi, jak bardzo jest ojciec niezbędny, nie tylko w samym majątku, ale i dla całej wsi,

i że cieszy się znakomitą opinią w całym hrabstwie.

Po chwili milczenia mówił dalej:

— Szef policji, generał sir Mortimer Stanbrook, zaledwie kilka tygodni temu powiedział mi, że mowa, jaką wygłosiłeś, pastorze, podczas uroczystości dla farmerów, była jedną z najznakomitszych, jakie słyszał!

— To bardzo miłe — odparł pastor. — Wie pan, pułkowniku, że moja żona i ja bylibyśmy nieszczęśliwi, gdybyśmy musieli stąd wyjechać.

Pułkownik wstał.

— Proszę zdać się na mnie. Gervais nie zna angielskich zwyczajów. Jestem pewien, że nie odwoła comiesięcznych nabożeństw w kaplicy. Dam mu też jasno do zrozumienia, jak bardzo ojca potrzebujemy.

— Wiedziałem, że mogę na panu polegać, pułkowniku — rzekł z ulgą pastor.

Panowie podali sobie ręce.

— Proszę się już nie martwić — uspokajał pułkownik. — Jak wiemy, „nowa miotła inaczej zamiata”. Rzeczywiście, już zauważyłem, że nowy markiz zanadto się śpieszy w różnych sprawach!

Charisa uznała, że to szczerą prawdą. Wstała i pocałowała pastora w policzek, mówiąc:

— Papa ma rację, nie dalibyśmy sobie rady bez ojca. Wiem, że nie ma nikogo w okolicy Berkshire, kto by tego nie potwierdził.

— Dziękuję, Chariso — odpowiedział pastor.

Gdy odjeżdżali, machał im ręką na pożegnanie. Charisa stwierdziła, że wygląda o wiele lepiej niż tuż po ich przyjeździe.

Kiedy wyjechali za bramę i znaleźli się na drodze do wsi, zwróciła się do ojca:

— Gervais musi być szalony, jeśli myśli o pozbyciu się takiego znakomitego i wyjątkowego pastora!

— Sądzę, że nie miał takiego zamiaru — odparł pułkownik. — Nigdy nie przyszło mi do głowy, że powinienem wyjaśnić mu, jak ważny jest pastor dla lokalnej społeczności.

— Musisz powiedzieć mu teraz i przekonać go, by powstrzymał swego kapelana od przyjazdu do Anglii.

Ojciec nie odpowiedział, więc Charisa dodała:

— Nie pomyślałabym, że Gervais jest tak religijny.

— Ja też nie — przyznał pułkownik. — Ale nie martw się, kochanie, wyjaśnię, o co w tym chodzi, i przemówię Gervaisowi do rozsądku.

— Mam nadzieję, że już niczym nas nie zaszokuje! — zauważyła Charisa. — Nie mówiłam ci, że pani Bush wspominała wczoraj, że mogą być jakieś zmiany w składzie służby.

— Wielkie nieba! — wykrzyknął pułkownik. — Chyba nie myśli o zwolnieniu jej albo Dawkinsa. Jeśli to zrobi, wszystko się zawali!

— To samo pomyślałam — powiedziała Charisa. — Och, papo, porozmawiaj z nim najszybciej, jak możesz, i przekonaj go, że doprowadzi do ruiny opactwo, jeśli spróbuje coś zmienić. Nikt nie chce nowoczesnych pomysłów i nowych ludzi, jeśli wszystko teraz idzie doskonale!

— Zrobię, co będę mógł — odparł pułkownik. — Ale jak wiesz, markiz Mawdelyn jest „panem sam dla siebie”.

— Nie wtedy, gdy rani tutejszych ludzi — rzekła szybko Charisa.

Ojciec nie odpowiedział. Po zaciśniętych ustach i twardej linii podbródka poznała, że jest zirytowany. Pomyślała, że trzeba być odważnym człowiekiem, by sprzeciwić się ojcu, gdy przystępuje do walki w obronie swoich racji.

Przyjechali do opactwa. Gdy wchodzili po schodach, markiz wyszedł ich powitać.

— Miło widzieć was ponownie — powiedział. — Nie będę was zanudzał wyłącznie swoim towarzystwem, bo dwoje moich przyja-

ciół właśnie przyjechało z Paryża. Oni również chcą was poznać, a myślę, że spodobają się wam tak samo, jak mnie się podobają.

Zaprowadził ich do salonu. Charisa ujrzała tam dwie osoby, kobietę i mężczyznę. Podchodząc do owej damy, pomyślała, że jeszcze nigdy nie widziała kogoś tak wykwintnego, a jednocześnie tak oryginalnego.

— Ariste, moja droga, pozwól, że ci przedstawię moją śliczną kuzynkę, Charisę Templeton, i jej ojca, pułkownika Lionela Templetona, który pomaga mi w moich nowych obowiązkach — oznajmił markiz.

Dama podała im rękę, a markiz dokończył prezentacji:

— Madame Ariste Dubus jest jedną z moich najdawniejszych i najbardziej uroczych przyjaciółek.

— Miło mi panią poznać! — zwróciła się madame Dubus do Charisy. Spoglądając spod firanki ciemnych rzęs na pułkownika, dodała: — Gervais wysławiał pańskie zalety, pułkowniku, i już na pierwszy rzut oka widać, że te pochwały były uzasadnione.

Mówiła po angielsku dobrze, ale z obcym akcentem. Właściwie nie była ładna. Miała jednak nieodparty urok. Charisa widziała, że bardzo wyraźnie kokietuje ojca.

Markiz zwrócił się w stronę młodego mężczyzny.

— A to również mój stary przyjaciel i rówieśnik, który jest dla mnie niemal jak brat. Hrabia Jean de Soisson i ja chodziliśmy razem do szkoły, którą zaszczytnie ukończyliśmy!

Hrabia wyciągnął rękę na powitanie. Kiedy madame Dubus wdzięczyła się do pułkownika, Jean de Soisson skoncentrował się na Charisie.

— Jest pani śliczna! — wykrzyknął. — Mogłaby pani zawojować od pierwszej chwili cały Paryż, gdyby się tylko tam zjawiła!

— Jest mi zupełnie dobrze w Anglii, chociaż panu może się ona wydać dosyć nudna — odrzekła Charisa.

— Ale nie przy pani! — odparł hrabia.

Charisa pomyślała, że w sposobie, w jaki na nią patrzy, jest coś nieprzyjemnego. Odeszła w kierunku ojca. Jednak on przemierzał pokój w towarzystwie madame Dubus.

Stanęli razem przy oknie i ojciec pokazywał jej piękne fragmenty ogrodu. Markiz napełniał kieliszki szampanem.

Charisa spodziewała się raczej herbaty, ale pomyślała, że to byłoby zbyt angielskie jak na markiza.

Pewnie nie wydał Dawkinsowi polecenia, by na wspaniałej srebrnej tacy przyniósł staro-

świecki czajniczek i całą zastawę do herbaty. Wobec tego chyba nie będzie ciepłych bułeczek, kanapek, ciasteczek i krakersów. A to wszystko podawano zawsze o tej porze w opactwie.

Gervais przeszedł przez pokój z kieliszkiem szampana i podał go Jeanowi.

— Z pewnością napijesz się, Jean, a i tobie dobrze zrobi kieliszek, Chariso.

— Nie, dziękuję. Dla mnie to za wczesna pora, wolałabym szklaneczkę lemoniady.

— Myślę, że popełnia pani błąd — wtrącił się hrabia — bo to wyjątkowo dobry trunek, który przywozłem z Francji na prośbę przyjaciela, Gervaisa, i naprawdę jest wart swojej ceny!

Charisa nie odpowiedziała. Pomyślała, że Gervais jest przecież w tarapatkach finansowych i próbuje uzyskać pomoc od jej ojca. Nie powinien więc wydawać dużych sum na alkohol. A była to jedna z takich rzeczy, o których wieść rozniesie się po wsi, a w końcu po całym hrabstwie.

Madame Dubus nadal flirtowała z pułkownikiem. Markiz przyniósł Charisie szklaneczkę lemoniady i usiadł na kanapie. Także hrabia przyłączył się do nich, siadając, zdaniem Charisy, za blisko niej.

— Zawsze słyszałem, że Angielki są piękne, ale teraz jestem oszołomiony, zachwycony

i oczarowany urodą jednej z najpiękniejszych kobiet, jakie widziałem — oznajmił.

— Trudno mi w to uwierzyć — odparła Charisa — bo w Anglii zawsze się mówi o Francuzkach jako najbardziej czarujących i najszykowniejszych kobietach na świecie.

— Szyku można się nauczyć, ale z urodą przychodzi się na świat — skomentował hrabia.

Przysłuchujący się temu markiz roześmiał się.

— To dobre, Jean! Zawsze znajdziesz odpowiednie słowa, a to, co mówisz, brzmi nawet lepiej po angielsku niż po francusku!

— Zapewniam cię, że mógłbym przemawiać jeszcze goręcej do mademoiselle po francusku, gdybym był pewien, że mnie zrozumie.

— Jeśli chce pan wiedzieć, czy znam francuski — powiedziała dość chłodno Charisa — to mogę pana poinformować, że całkiem nieźle.

Matce zależało, by nabrała również paryskiego akcentu.

— Proszę mnie zatem przekonać, że pani głos brzmi jeszcze piękniej w moim języku niż po angielsku — rzucił wyzywająco hrabia.

— Będę mówić po francusku jedynie po to, by nie czuł pan przewagi, że jest dwujęzyczny — odcięła się Charisa po francusku.

Hrabia de Soisson roześmiał się i zaczął bić brawo.

— Świetnie, znakomicie! Teraz wiem, że pani nie przewyższam, ale jestem uniżonym sługą u jej stóp!

Charisa pomyślała, że jest on dość dziwny. Tak jak Gervais, był ubrany zbyt wykwintnie i elegancko jak na wieś. Nabrała pewności, że hrabia raczej nie spodoba się krewnym z rodziny Mawde'ów, bo nie będzie im odpowiadał jako przyjaciel głowy rodu.

Gervais zaniósł po kieliszku szampana madame Dubus i pułkownikowi, którzy odeszli od okna i przyłączyli się do reszty towarzystwa przy kominku.

— Widzę, kochanie — zwrócił się pułkownik do córki — że masz dość rozsądku, by pić lemoniadę, a nie szampana. A ja czuję się zawstydzony, że złamałem zasadę obowiązującą w moim pułku, by nie pić alkoholu przed zachodem słońca!

Hrabia roześmiał się.

— Wy, Anglicy, zawsze odmawiacie sobie tego, co przyjemne, zabawne i miłe, po prostu dlatego, że boicie się korzystać z życia jak my we Francji.

— Zależy, co pan przez to rozumie — rzekł pułkownik trochę dotknięty.

Hrabia uniósł swój kieliszek.

— Powiedzmy, wino i kobiety, reszta jest naturalną tego konsekwencją.

Pułkownik uśmiechnął się, ale Charisa wiedziała, że jest nieco wyprowadzony z równowagi. Hrabia zachowywał się tak, jakby stał na scenie. To samo można było powiedzieć o madame Dubus. Położyła dłoń na ramieniu pułkownika, mówiąc:

— Musi pan jak najszybciej przyjechać do Paryża, drogi angielski pułkowniku, a pokażę panu rozmaite rozrywki, bardziej ekscytujące i ciekawsze niż wszystko, o czym pan marzył!

Ponownie zatrzepotała długimi rzęsami i zrobiła minkę świadcząca o wyraźnej ochocie na flirt z pułkownikiem. Rozmawiali jakiś czas, aż Charisa oznajmiła:

— Pójdę na górę i odpocznę trochę przed kolacją.

W domu nigdy tak nie robiła, ale czuła się nie-swojo pod wpływem wzroku hrabiego. Nie podobała jej się również zbyt poufały sposób, w jaki madame Dubus rozmawiała z ojcem. Wiedziała, że matka byłaby tym zirytowana i zaszokowana, i pomyślała, że ojcu chyba to także nie bardzo odpowiada.

Nie podobają mi się ci ludzie! — stwierdziła w duchu. — Mam nadzieję, że reszta towarzystwa okaże się inna.

Była pewna, że ta dwójka nie pasuje do nikogo z rodziny Mawde'ów. Wszyscy będą z pewnością zaszokowani.

Madame Dubus zaczęła robić wymówki, że Charisa chce ich opuścić, ale markiz oświadczył:

— Nie ma pośpiechu. Kolacja będzie o wpół do dziewiątej, a to i tak znacznie wcześniej niż w Paryżu.

Charisa wiedziała, że tak jest w istocie, ale wolała przestrzegać angielskich zwyczajów. Jednak była zbyt uprzejma, by to powiedzieć na głos. Podeszła po prostu do drzwi. Hrabiemu nie pozostało nic innego niż je przed nią otworzyć.

Dziewczyna weszła na górę do pokoju, który zawsze zajmowała, gdy nocowała w opactwie. Był to jej ulubiony pokój, bo został urządzony przez matkę. Jej samej pozwolono wybrać firanki i część mebli. Charisa uprosiła również starego markiza, by powiesić na ścianie jej ukochany obraz. Nawet gdy była mała, stawała w zachwycie przed malowidłem Lucasa Crana—cha. Uważała, że *Odpoczynek w czasie ucieczki do Egiptu* jest najwspanialszym obrazem, jaki w życiu widziała.

Przedstawiał Dzieciątko w ramionach Maryi, a z tyłu stał Józef. Wokół nich wszędzie

unosily się anioły z rozpostartymi skrzydłami. Dzieło to oddziaływało na wyobraźnię Charisy. Odkąd stary markiz pozwolił powiesić obraz w jej sypialni, mogła, leżąc w łóżku, przyglądać mu się rano i modlić przed nim wieczorami.

Sam pokój należał do najstarszej części opactwa. Ściany pokrywała boazeria pomalowana na biało. Wszystkie meble dopasowano do barw malowidła Cranacha. Zastony miały kolor ciemnobłękitny jak suknia Madonny. Kosztowny wełniany dywan był różowawoniebieski, w odcieniu ziemi, na której odpoczywała Święta Rodzina. Baldachim nad łóżkiem miał złote zwieńczenie z aniołkami.

Po wejściu do pokoju zobaczyła, że ogrodnicy przynieśli specjalnie dla niej jej ulubione kwiaty. Były wśród nich świeżo rozkwitłe lilie. Ustawiono je w wazonach po obu stronach kominka. Na komodzie stały białe róże. Wszystko wyglądało tak jak zwykle, gdy przyjeżdżała do opactwa. Jedyna różnica polegała na tym, że na środku stołu znajdował się bukiet orchidei, takich samych, jakie markiz przysłał jej do domu. Patrząc na nie, uświadomiła sobie, że mu nie podziękowała. Powinna za to przeprosić, gdy zjedzie na kolację.

Zjawiała się tu wcześniej, niż przewidywano. Jedna ze starszych pokojówek, Bessy, która

zwykle jej usługiwała, krzątała się po pokoju, mówiąc:

— Myślałam, że panienka jeszcze zostanie na dole, panienko Chariso, ale miło, że już pani jest u siebie, niewątpliwie.

— Miło cię widzieć, Bessy. Jak się masz?

— Padam z nóg, panienko, naprawdę — odparła Bessy. — Nie wiem, jak sobie poradzę, bo wszystko zostało postawione na głowie w porównaniu z tym, jak było przedtem.

— Co masz na myśli? — spytała Charisa, gdy Bessy pomagała jej zdjąć suknię.

— Śniadanie o jedenastej, więc nie możemy wejść do sypialni o odpowiedniej porze, lunch prawie pod wieczór, a teraz kolacja, która potrwa do północy.

Bessy mówiła to tak, że Charisa mogła jedynie się roześmiać.

— Pory jedzenia są we Francji inne niż u nas.

— I Francuzi są inni! — zauważyła Bessy.

— Powinna panienka zobaczyć, ile bielizny przywiozła z sobą ta pani. Można by sądzić, że ma zamiar zostać tu pięć lat!

— Widziałam, że jest bardzo elegancka — odparła Charisa.

Nie mogła nic poradzić na to, że jej głos zabrzmiał raczej chłodno. Zrozumiała już, że nie

polubi madame Dubus. Nie podobał jej się również hrabia de Soisson.

Ale po chwili przyszło jej na myśl, że jest bardzo zaściankowa. Trudno było przypuszczać, że cudzoziemcy nie będą się różnić od Anglików. Uznała, że lepiej szanować te różnice niż je lekceważyć. Zwróciła się do Bessy:

— Powiedziałam, że chcę odpocząć przed kolacją, sądzę jednak, że przyjemnie będzie posiedzieć tutaj, poczytać książkę, i popatrzeć na obraz.

— Wiedziałam, że panienka będzie chciała go widzieć. — Bessy uśmiechnęła się. — Zawsze mówimy o nim wśród służby „obraz panienki Charisy”, jest naprawdę śliczny z tymi wszystkimi aniołkami.

— Kocham go, odkąd pamiętam — powiedziała Charisa — a gdy jestem tutaj, przyglądam się wszystkim obrazom w galerii, jakbym ich nigdy wcześniej nie widziała.

— To lepiej niech się panienka śpieszy, bo ani się panienka spostrzeże, jak ich tu nie będzie!

Charisa zamarła w bezruchu.

— Co masz na myśli?

Bessy zniżyła głos.

— Słyszałam, że lord pytał pana Sheldona, które obrazy można sprzedać.

Charisa spojrzała na nią ze zdumieniem.

— Sprzedać?! — wykrzyknęła. — Przecież musi wiedzieć, że one wszystkie wchodzi w skład majątku ordynacji, jak całe wyposażenie domu.

— Lord głośno powiedział: „Na pewno są jakieś rzeczy, które nie figurują w tym przekłętym inwentarzu!”

W tym momencie Bessy zakryła sobie usta dłonią.

— Przepraszam, panienko Chariso, ale to jego własne słowa.

Pan Sheldon zarządzał zarówno domem, jak i całą posiadłością. Charisa była pewna, że jeśli markiz rozmawiał z nim, to tylko w tajemnicy. Jednak służący podsłuchali pod drzwiami wszystko, co mówił. Nie było to dla niej niespodzianką. Wiedziała, że cała służba jest niezwykle ciekawa wszystkiego, co nowy markiz mówi i robi. Jednocześnie była przerażona, że Gervais zaraz po przyjeździe rozprawia o sprzedaży czegokolwiek.

Pomyślała, że powinna natychmiast zawiadomić o tym ojca. Jeśliby miało dojść do sprzedaży obrazów, pułkownik musiał mieć pewność, że najpierw zostaną one zaoferowane jemu.

Potem zaczęła się zastanawiać, dlaczego markiz potrzebuje tylu pieniędzy, czy ma jakieś

zobowiązania we Francji, czy po prostu to jego kaprys.

Po wyjściu Bessy Charisa nie położyła się do łóżka. Stała przy oknie i spoglądała na ogród. Było dość oczywiste, dlaczego markiz chce ją poślubić. Było też jasne, dlaczego ma nadzieję, że jej ojciec pomoże mu w utrzymaniu posiadłości, tak jak pomagał dawniej.

To, że mógłby sprzedać obrazy lub inne cenne przedmioty znajdujące się w domu, nigdy nie przyszłoby do głowy staremu markizowi ani żadnemu z jego poprzedników, po kolei dziedziczących opactwo. Dom i całe jego wyposażenie stanowiły dla nich święty, nienaruszalny depozyt. Od stuleci przechodził on z pokolenia na pokolenie.

Od czasu do czasu Mawde'owie wydawali fortuny na konie, dom w Londynie czy kosztowne uciechy. Charisa była jednak całkowicie pewna, że żaden z nich nigdy nie pomyślał o sprzedaży tego, co otrzymał w spadku. Cała spuścizna musiała zostać przekazana w doskonałym stanie kolejnemu właścicielowi.

Papa musi go powstrzymać! — pomyślała. Potem jednak uświadomiła sobie, że w gruncie rzeczy ojcu może się to nie udać.

Odeszła od okna i spojrzała na obraz. Podobnie jak we wczesnym dzieciństwie miała teraz

wrażenie, że jest jednym z aniołków otaczających Dzieciątko. Anioły otaczały Je, wielbiąc, a jednocześnie chroniły.

— Właśnie to jest teraz potrzebne — powiedziała sobie Charisa — opieka nad całym opactwem.

Odczuła nagłą potrzebę modlitwy i chciała wierzyć, że zostanie wysłuchana.

Miała teraz na sobie śliczną nocną bieliznę i włożyła szlafrok, który do niej idealnie pasował. Pomyślała, że wystarczy kilka minut na dojście do kaplicy. Chciała się tam pomodlić, tak jak zawsze, gdy była w opactwie.

W Mawdelyn znajdowały się właściwie dwie kaplice. Jedna, zbudowana dla zakonników, była olbrzymia i mogła z łatwością pomieścić sto osób. Druga, niewielka, znajdowała się nad kryptą pierwszego opata. Miała tak małą powierzchnię, że mogło się w niej modlić najwyżej dwanaście osób. Ponieważ rzadko z niej korzystano, Charisa zawsze tam chodziła, będąc w opactwie. Miała wrażenie, że duchy zakonników czuwających nad wszystkim, co się dzieje w budynku, cieszą się, że mała kaplica nie poszła w zapomnienie.

Z łatwością przemknęła teraz szerokim korytarzem, sąsiadującym z jej sypialnią. Zeszła po niewielkich stopniach aż do końca główne-

go budynku. Stamtąd było przejście do kaplicy. Dotarła tam i otworzyła drzwi.

Zachodzące słońce przeświecało przez piękne witraże. Reszta pomieszczenia, pozbawiona okien, tonęła w mroku. W kaplicy nie było kwiatów; Charisa wiedziała, że ustawiano je tylko w tej dużej.

Gdy szła do ołtarza, słońce świeciło jej prosto w oczy. Wydawało się, że to złociste światło płynie z niebios, jakby na jej powitanie. Podeszła do stopni i uklękła. Spojrzała w górę.

Spodziewała się, że zobaczy piękny, stary złoty krzyż, ozdobiony klejnotami, który podobno był własnością pierwszego opata. Ale go nie dostrzegła. Pomyślała, że to dlatego, iż oślepią ją słońce, i osłoniła oczy ręką. Teraz widziała wyraźniej.

Zdała sobie sprawę, że krucyfiks zniknął. Nie było również sześciu złotych lichtarzy, które zawsze stały po obu jego stronach.

On je sprzedał! — wyszeptała Charisa i spojrzała jeszcze raz na ścianę, jakby nie wierząc własnym oczom. Jak to możliwe, że Gervais ośmielił się sprzedać coś tak cennego i tak wyjątkowego, należącego do opactwa?

Opat Mawdelyn wybrał na patrona klasztoru piętnastowiecznego świętego, który dokonał wielu cudów. Charisa jednak zawsze uważała samego opata za świętego.

Znawcy sztuki często przyjeżdżali do opactwa, by podziwiać zbiory malarstwa i inne skarby. Uznali, że krucyfiks i lichtarze były darem dla opata Mawdelyn. Trudno było jednoznacznie określić dokładną datę ich wykonania, ale na pewno pochodziły z tamtego okresu.

Żadna inna świątynia w całej Anglii nie miała piękniejszej dekoracji ołtarza. Charisa

w dzieciństwie obserwowała migotanie promieni słonecznych na klejnotach zdobiących krucyfiks. Wierzyła, że ich blask świadczy o tym, że jej dziecięce modlitwy zostały wysłuchane.

Teraz, widząc ogołocoony ołtarz, przeżyła szok. Chciało jej się płakać z powodu utraty tak cennych przedmiotów. Ukłękła do modlitwy, zastanawiając się, co ma robić. Wiedziała, że ojciec bardzo by się zdenerwował, ale nie miał wpływu na Gervaisa. Nie należał do zarządu ordynacji, chociaż oczywiście mógł skontaktować się z jego członkami. Znał ich dobrze, ale to byli obecnie ludzie w bardzo podeszłym wieku. Nie mogli na co dzień pilnować wyposażenia opactwa, by mieć pewność, że niczego nie brakuje.

— Co mam robić? — Charisa zadała to pytanie na głos i uświadomiła sobie, że nadal się modli na klęczkach. Gdy padły na nią promienie słońca, wzięła to za znak, że jej modlitwy zostały wysłuchane. Miała nawet wrażenie, że towarzyszy jej obecność samego opata. Nie umiałaby tego dobrze wyjaśnić, ale czuła jego duchową bliskość.

Ku swemu zaskoczeniu zrozumiała, że opat ostrzega ją przed niebezpieczeństwem. Nie wiedziała, o co może chodzić, ale niewątpliwie istniało jakieś zagrożenie. Czuła to tak wyraźnie

jak dreszcz odrazy, który przeniknął ją, gdy Gervais pocałował ją w rękę.

— Co mam robić? — pytała. — Powiedz, co mam robić.

Próbowała wsłuchiwać się w siebie, jak niegdyś radziła jej matka. Mawiała ona, że „gdy Bóg mówi do nas, nie słyszymy tego zwyczajnie jak głosu ludzi, ale słyszymy głos wewnętrzny. To głos naszej duszy”.

Pomóż mi, błagam, pomóż mi — modliła się Charisa.

Ze zdumieniem stwierdziła, że duch opata podpowiada jej, by w tej chwili zostawiła rzeczy własnemu biegowi.

Ale papa z pewnością mógłby wyperswadować Gervaisowi pomysł sprzedaży tak cennych przedmiotów? — toczyła w myślach dyskusję. Znowu wydawało jej się, że słyszy ostrzeżenie przed jakimś niebezpieczeństwem, któremu nie może zaradzić. Może tylko być na nie przygotowana i oczywiście się modlić.

Nie rozumiała tego głosu. Ukryła twarz w dłoniach, jakby chroniąc się przed słońcem. Modliła się z całej duszy, by nic złego się nie stało z opactwem, by nadal było pięknym świętym miejscem, jak do tej pory.

Gdy przestała się modlić, zrozumiała, że duch opata już jej nie towarzyszy. Jednak nadal

padało na nią słońce i, ku swojemu zdumieniu, poczuła rodzaj szczęścia.

Może wszystko będzie dobrze — pomyślała z pewnym wahaniem.

Wolno podniosła się z klęczek i poszła krótkim przejściem za starymi ławkami. Gdy doszła do drzwi, obejrzała się.

Ołtarz był nadal zalany złocistą poświatą. Pomyślała, że Bóg zesłał promienie słońca, by zastąpiły krucyfiks i świeczniki. I jakby po to, by upewnić ją, że On czuwa nad opactwem.

Charisa stała przez dłuższą chwilę, po prostu wpatrując się w ołtarz. Potem powoli poszła schodami na górę do swojej sypialni.

Dopiero gdy położyła się do łóżka, uświadomiła sobie, że doświadczyła czegoś bardzo dziwnego. Wiedziała, że będzie o tym pamiętać do końca życia.

Miała ochotę opowiedzieć o tym ojcu, ale wiedziała, że by się zmartwił. Przeraziłoby go zniknięcie krucyfiksu i lichtarzy. Ponadto była pewna, że duch opata przestrzegął, by zachowała wszystko tylko dla siebie.

To było bardzo dziwne — pomyślała.

Jednocześnie poczuła, że duchy opata i zakonników błogosławią jej poczynaniom, i była pewna, że będą czuwać nad opactwem.

Następnego ranka świeciło słońce. Charisa wiedziała, że dzień będzie bardzo upalny. Pamiętała, że Gervais chciał z nią pojeździć konno. Włożyła więc letni strój do konnej jazdy i zeszła na dół na śniadanie.

Nie była zaskoczona, widząc, że w pokoju śniadaniowym jest tylko jej ojciec.

— Dzień dobry, kochanie! — powitał ją.
— Sądzę, że będziemy sami. Dawkins powiedział, że madame zje śniadanie na górze, a naszego gospodarza nawet jeszcze nie obudzono.

Charisa roześmiała się.

— Każdemu w Anglii musi wydawać się dziwny obyczaj tak późnego wstawania, ale sądzę, że Gervais jest przyzwyczajony do paryskich rozrywek, które zapewne trwają do świtu.

Zauważyła, że ojciec wygląda na niezadowolonego, i szybko zmieniła temat, wspominając o koniach:

— Gervais powiedział, że chciałby ze mną pojeździć. Którego konia radzisz wziąć dla niego, a którego, co ważniejsze, polecilibyś mnie?

Ojciec natychmiast zaczął opisywać wyjątkowe zalety koni, które kupił dla markiza niedługo przed jego śmiercią. Sprowadzono je za ledwie przed tygodniem.

— Chciałbym, żeby żył Vincent. On był znakomitym jeźdźcem, jednym z najlepszych, jakich widziałem.

Charisa mruknęła coś potakująco, a ojciec ciągnął:

— Zawsze myślałem, że któregoś dnia, gdy wyjdzie z wojska i osiadzie tu na miejscu, zbudujemy tor wyścigowy. — Przerwał i po chwili dodał: — Coś takiego bardzo by się przydało w tej części kraju, a mnie osobiście sprawiłoby wielką radość.

— Świetny pomysł, papo! — ucieszyła się Charisa. — Może to stanowiłoby też rozrywkę dla Gervaisa.

— Wątpię — odparł ojciec — on jest „niedzielny jeźdźcem” i na pewno nie skacze przez przeszkody. Mam wrażenie, chociaż mogę się mylić, że on nie ma zamiłowania do konnej jazdy.

Charisa spojrzała na niego ze strachem.

— Mam nadzieję, że to nieprawda. Czym byłoby opactwo bez stajni i wspaniałych koni?

Zastanawiała się jednocześnie, czy Gervais sprzedałby konie, gdyby potrzebował pieniędzy. Ponieważ ta myśl ją dręczyła, powiedziała do ojca:

— Myślałam właśnie o tym, czy rzeczywiście pomożesz Gervaisowi finansowo. Wygląda na to, że nie da sobie rady bez ciebie.

Przez chwilę pułkownik milczał, najwidoczniej zastanawiając się nad odpowiedzią. Potem rzekł:

— Nie mam najmniejszego pojęcia, na co chce Gervais wydawać pieniądze i, mówiąc prawdę, po tym, co mi powiedział Matthews, nie mam zamiaru dawać mu wolnej ręki.

— Wiem, co masz na myśli, papo — odezwała się cicho Charisa — i jestem pewna, że masz rację.

Miała ochotę jeszcze coś dodać, ale drzwi się otworzyły i wszedł hrabia.

— Dzień dobry! — przywitał się. — Widzę, że się spóźniłem, ale proszę sobie nie przeszkadzać. Słońce świeci, a mademoiselle wygląda nawet jeszcze piękniej niż wczoraj!

— Nie ma pośpiechu — odparła Charisa. — Spodziewałam się, że pojeżdżę z Gervaisem, ale on nie został jeszcze obudzony.

— Wydaje mi się, że zwykł sypiać do południa — odpowiedział hrabia — więc proszę mi pozwolić zająć jego miejsce. Bardzo chcę zobaczyć konie.

Spojrzał na pułkownika i dorzucił:

— Słyszałem, że pani ojciec dopłacał do ich utrzymania, podobnie jak do innych wspańiałości, które Gervais miał szczęście odziedziczyć.

— Kto panu to powiedział? — spytał pułkownik ostrym tonem.

— Gervais, oczywiście. Wiem, jak bardzo jest panu wdzięczny za pańską szczodrość dla jego wuja.

Hrabia rozłożył ręce w typowo francuskim geście i dodał:

— Czy potraficie sobie wyobrazić, co to dla niego znaczyło zostać dziedzicem tego wspaniałego domu z jego wyposażeniem i w ogóle całej tej posiadłości?

— Rozumiem, że był zachwycony — skomentowała Charisa dość chłodno.

— „Zachwycony” to mało powiedziane. Po prostu spadło mu to z nieba w ostatniej chwili. Skakał do góry z radości i myślałem, że sięgnie aż do księżyca!

Charisa pomyślała, że wypadałoby raczej Gervaisowi wyrazić jakiś żal po śmierci wuja, który zawsze był dla niego bardzo dobry i stale spłacał jego długi.

— To był dla Gervaisa bardzo szczęśliwy zbieg okoliczności — mówił dalej hrabia jakby z lekką zazdrością — że jego kuzyn został zabity w Indiach. Można by powiedzieć, że dobrze się złożyło, a on zginął w samą porę, gdy Gervais już nie wiedział, co robić.

— Bardzo lubiłam Vincenta — powiedziała cicho Charisa — tak jak wszyscy w tym domu

i we wsi. Wszyscy gorzko płakali, gdy usłyszeli tę smutną nowinę.

— Zdaje się, że w Anglii macie powiedzenie: „Zły to wiatr, który nie przynosi dobrych wieści”. Gervais to szczęściarz!

Nie było wątpliwości, że w jego głosie pobrzmiewała zazdrość. Charisa, mimo że nie skończyła śniadania, wstała od stołu.

— Może pójdziemy obejrzyć nowe konie, papo? — spytała. — Wiem, że potrafisz mi o nich dużo powiedzieć.

— Może pani poczeka na mnie, piękna damo? — poprosił hrabia. — Chciałbym zobaczyć panią jeżdżącą jak amazonka, a może raczej jak bogini?

— Myślę, że powinniśmy z tym poczekać na naszego gospodarza, a teraz papa i ja nie będziemy jeździć, tylko oglądać konie.

Wyszła z pokoju, a ojciec podążył za nią. Gdy zamknął za sobą drzwi, tak że hrabia nie mógł go usłyszeć, pułkownik powiedział z oburzeniem:

— Co za bezczelny młody szczeniak! Nie miał prawa rozmawiać z tobą tak poufale!

— Oczywiście — przyznała Charisa — i myślę, że w bardzo złym stylu jest mówienie w ten sposób o Gervaisie, gdy się jest jego gościem.

— Dlaczego musimy znosić tych wszystkich cudzoziemców w każdym kącie w opactwie?!

— Pułkownik nie krył irytacji.

Charisa nie odpowiedziała. Idąc w kierunku stajni, była pewna, że ojciec tak samo jak ona myśli o Vincencie.

Przypominała sobie bardzo wyraźnie, jak wspaniale młody Mawde jeździł konno. Pamiętała również, że w czasie wspólnych przejazdów był zawsze dla niej wyjątkowo miły. Nie pozwalał jej pokonywać przeszkód, które uważał za zbyt wysokie dla jej wierzchowca. Zawsze czekał na nią, jeśli jego koń jechał szybciej niż jej.

Nabrała pewności, że ojciec się nie myli co do tego, że hrabia jest tylko „niedzielnym jeźdźcą”. A to znaczyło, że trzy czwarte rasowych rumaków, z których wiele było arabskiej krwi, nie będzie przydatnych.

Zastanawiała się, czy nie zasugerować ojcu, że Gervais będzie skłonny sprzedać konie i że wtedy on powinien je kupić. Wyglądało to na ironię losu, ponieważ ojciec sprowadził je przede wszystkim dla markiza.

Charisa nie mogła ścierpieć myśli, że zwierzęta ulegną rozproszeniu i że mogą trafić na właścicieli, którzy ich nie docenią lub nawet będą dla nich okrutni. Wiedziała, że jej ojciec nigdy nie sprzedawał koni nieznanym. Naj-

pierw upewniał się, czy nowy właściciel będzie równie troskliwy jak on.

Znowu niemal poczuła obok siebie obecność opata, który nakazywał jej milczenie. Nie rozumiała, jaka jest tego przyczyna.

Spędziła wraz z ojcem miło czas w stajniach, oglądając boks po boksie, a towarzyszył im stajenny. Pieścili konie tak jak zwykle.

Dopiero półtorej godziny później przyłączyli się do nich Gervais i hrabia. Obaj wyglądali bardzo elegancko, zbyt wykwintnie jak na wiejski spacer, podczas którego nikt nie miał ich widzieć.

Przyprowadzono im najlepsze konie i wyruszyli. Zaraz za opactwem zaczęli jechać galopem.

Charisa musiała przyznać, że Gervais bardzo dobrze prezentuje się na wierzchowcu, zresztą hrabia również. Jednak obaj nie chcieli skakać przez żywopłoty znajdujące się na sąsiednim polu. Pułkownik i Charisa pokonywali przeszkody, ale tamci dwaj zawsze znajdowali wymówkę. Gervais chciał „lepiej poznać” swojego konia, zanim zrobi coś tak widowiskowego, hrabia zaś powiedział, że nie ma nastroju do takich wyczynów.

W końcu przyjechali do domu, obejrzawszy po drodze jedno gospodarstwo, którego Gervais

jeszcze nie widział. Po tej przejażdżce Charisa przekonała się, że nie pomyliła się co do niego: jeździł tylko dlatego, że tak należało. Lubił podziw widzów, jeśli byli obecni, w przeciwnym razie jazda konna niewiele dla niego znaczyła.

W gruncie rzeczy bardziej zainteresował się gospodarstwem. Chciał wiedzieć, jakie przynosi zyski i czy uprawia się tam wystarczająco dużo ziemi, by zbierać dobre plony. Na pytania odpowiadał pułkownik. Charisa wyczuła, że nie sprawia mu to przyjemności.

Kiedy wrócili do opactwa, madame Dubus była na dole. Wyglądała jeszcze bardziej elegancko i wykwintnie niż poprzedniego dnia. Jednak jej uszmińkowane usta i pokryte tuszem rzęsy nie pasowały do otoczenia.

Spotkała ich w hallu. Ucałowała czule Gervaisa i hrabiego, a potem zwróciła się do pułkownika:

— Przez czyste lenistwo nie widziałam, jak pan jeździ, drogi pułkowniku, ale nie omieszkać tego uczynić kiedy indziej, bo opowiadano mi, jak wspaniale prezentuje się pan na koniu!

Znowu go kokietowała. Zanim pułkownik zdołał odpowiedzieć, rzekła do Gervaisa:

— Mam dla ciebie wiadomość, *mon brave*. Nasi przyjaciele przybędą jutro. Wiem, że będziesz bardzo zadowolony.

— Wszyscy?

— Wszyscy! — potwierdziła madame Dubus.

Charisa zwróciła uwagę, że nadała głosowi specjalną intonację, jakby to słowo miało szczególne znaczenie dla Gervaisa. Wydało jej się, że ciemne oczy madame błyszcząły dziwnym podnieceniem.

— Zostaną bardzo serdecznie powitani — zapewnił Gervais.

Madame Dubus uśmiechnęła się.

— Przypuszczałam, że tak właśnie powiesz.

Przeszli do salonu sąsiadującego z jadalnią. Butelka szampana chłodziła się w wiaderku z lodem. Charisa nie była zaskoczona, ale jednocześnie pomyślała, że to dziwne pić szampana na wsi o tak wczesnej porze.

Ojciec wziął kieliszek, jakby obawiając się, że odmowa byłaby nie na miejscu. Charisa zauważyła jednak, że tylko zamoczył usta w trunku, odstawiając go na stolik, gdy nikt nie widział.

Madame Dubus rozmawiała z nim w swój zwykły poufaly sposób. Charisa nagle poczuła niechęć do otoczenia, więc poszła do sypialni zdjąć strój jeździecki.

Charisa spodziewała się, że po południu pojedą na przejażdżkę powozami. Jednak Gervais uznał, że jest zbyt gorąco.

Wobec tego zostawiła resztę towarzystwa i poszła na górę do galerii obrazów.

Obawiała się, że zobaczy ślady po wyniesionych malowidłach. Na szczęście wszystkie były na miejscu. Pomyślała, że nawet Gervais nie ośmieliłby się sprzedać takich skarbów, wchodzących w skład spisane go majątku. Wiedziała, że ojciec ma odpis inwentarza zbiorów opactwa. Nigdy dotąd nie zadała sobie trudu, by wszystko dokładnie przejrzeć. Zawsze uznawała każdą rzecz za część tego miejsca, a nikt nigdy nie sugerował, by coś usunąć, pożyczyć czy sprzedać.

Oglądała właśnie wyjątkowo piękny portret drugiego markiza namalowany przez van Dycka, gdy usłyszała, że ktoś wchodzi do galerii. Obejrzała się z nadzieją, że to ojciec, ale zobaczyła Gervaisa. Kiedy się zbliżył, powiedziała, nie patrząc na niego:

— Właśnie podziwiałam ten cudowny portret van Dycka, przedstawiający markiza, który przywiózł z Wersalu do opactwa meble Ludwika Szesnastego.

— Dziwiłem się, czemu tyle rzeczy wydaje mi się znajomych! — wykrzyknął Gervais.

Charisa spojrzała na niego zdumiona.

— Z pewnością *czytałeś dzieje* rodu Mawde'ów? Istnieje kilka różnych wersji, ale najlepsza powstała piętnaście lat temu.

— Sądzę, że powinienem to kiedyś przeczytać.

— Powinieneś to przeczytać od razu! — zawołała Charisa. — Przede wszystkim możesz być bardzo dumny ze swych przodków. A poza tym są tam dzieje niemal każdego przedmiotu znajdującego się w tym domu.

— Myślę, że to twój obowiązek nauczyć mnie wszystkiego, co powinienem wiedzieć — odrzekł Gervais. — Kiedy, Chariso, wyjdiesz za mnie?

Za późno Charisa przypomniała sobie, że postanowiła uważać, by nigdy nie zostawać z nim sam na sam. Właśnie takiej sytuacji chciała uniknąć. Teraz jednak było już za późno na ucieczkę.

— To dla mnie zaszczyt, że prosisz mnie o rękę — zdołała wydusić. — Jednak dopiero się poznaliśmy, a ja nie mam zamiaru wychodzić za nikogo, póki go dobrze nie poznam.

— Znasz moich przodków, a wiem, jak wiele znaczy dla ciebie rodzina i, rzecz jasna, opactwo. Na co więc czekać?

— Trudno to wyrazić słowami, ale chodzi o to... że powinnam cię kochać.

— Sprawię, że mnie pokochasz. To nie będzie trudne, a pomyśl, ile radości dawałoby ci zarządzanie tym domem i wydawanie pieniędzy na jego urządzenie, by był jeszcze piękniejszy.

Charisa nie odpowiedziała. Wtedy niespodzianie Gervais otoczył ją ramieniem.

— Pokochasz mnie i będziemy bardzo szczęśliwi! — rzekł.

Pod wpływem jego dotyku znowu przez jej ciało przebiegł dreszcz odrazy jak wtedy, gdy pocałował ją w rękę.

Odwróciła od niego twarz, ale zanim się całkiem oswoodziła, jego usta dotknęły jej policzka. To już nie było jak rażenie błyskawicy, ale jak dźgnięcie nożem. Był to tak ostry, dotkliwy ból, że aż krzyknęła ze strachu. Odepchnęła Gervaisa tak gwałtownie, że go to zaskoczyło. Zanim zdążył ją powstrzymać, uwolniła się i pobięła wzdłuż galerii.

Biegła, jakby sam diabeł ją gonił.

— Charisa! Charisa! — wołał Gervais.

Ale ona dopadła już do korytarza prowadzącego na schody. Wbiegła na górę tak szybko, że zanim Gervais doszedł do drzwi galerii, znikła. Wpadła do sypialni i zamknęła drzwi na klucz. Uświadomiła sobie, że nie może złapać tchu i drży. Usiadła na łóżku i przycisnęła ręce do piersi. Próbowała uspokoić bijące szybko serce.

— Czemu on doprowadza mnie do takiego stanu? — zadała sobie pytanie.

Nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego dotyk Gervaisa wywołuje w niej taki paniczny strach.

Kiedy była w Londynie, złożono jej trzy propozycje małżeństwa. Odrzuciła je wszystkie, ale odczuwała dyskomfort, postępując w ten sposób. Zwłaszcza że w jednym przypadku bardziej chodziło o jej szczęście niż o co innego. Nawet w głosie owego mężczyzny słyszała nutę szczerości. Wiedziała, że jest w niej zakochany. Pozostali dwaj również byli zakochani, więc starała się być tak delikatna, jak tylko można. Powiedziała, że żywi do nich uczucie przyjaźni i ma nadzieję, że nigdy ich nie zapomni, ale ich nie kocha, co odgrywa zasadniczą rolę w podejmowaniu decyzji o małżeństwie.

Natomiast co do Gervaisa, zrozumiała już, że go nienawidzi. Odraza, jaką odczuła pod wpływem jego dotyku, była tak silna, że nie potrafiłaby nawet zbliżyć się do niego. To coś bardzo złego... bardzo złego — pomyślała.

W tej samej chwili trochę się zawstydziła własnej hysterii, poprawiła włosy i zmusiła się do zejścia na dół, by znaleźć ojca.

Tak jak się spodziewała, nadal był w rękach madame Dubus, która teraz właśnie zapropono-

wała hrabiemu rozgrywkę w warcaby. Ten zaś z przyjemnością przyjął propozycję.

Kiedy po chwili Gervais wszedł do salonu, Charisa nie rozumiała wyrazu jego oczu. Kiedy odrzuciła oświadczyń tamtych mężczyzn, patrzyli na nią błagalnie. Najwyraźniej mieli nadzieję, że może jeszcze zmienić zdanie. Teraz jednak odniosła niemiłe wrażenie, że Gervais ma coś hardego w wyrazie twarzy. Czuła, że postanowił dopiąć celu po swojemu. Wiedziała, że będzie musiała walczyć, by się przed nim obronić. Im szybciej wyjedziemy z opactwa, tym lepiej! — przemknęło jej przez myśl.

Uznała, że musi powiedzieć o tym ojcu. Niestety, nie miała ku temu okazji aż do momentu, gdy reszta towarzystwa poszła do swoich pokoi przebrać się przed obiadem. Zdążyła się tylko dowiedzieć, że zostało zaproszonych wielu gości. Nie było jednak wśród nich nikogo niezwykłego, po prostu członkowie rodziny Mawde'ów, którym Gervais chciał się przypodobać.

Wyglądało na to, że chce ich omotać, by nabrali do niego zaufania. Prosił ich o pomoc. Najwyraźniej próbował wywołać wrażenie, że mają obecnie najbardziej czarującą i najmiłą osobę jako głowę rodziny.

Kiedy panie porzuciły towarzystwo panów, jedna z ciotek Gervaisa zwróciła się do Charisy:

— Jestem bardzo zdenerwowana, kochanie, odkąd dowiedziałam się, że biedny drogi Gervais jest tak ubogi.

— Czy powiedział cioci o tym?

— Tak, ale sama rozumiesz, kochanie, że jeśli on nie będzie w stanie płacić mi uposażenia, jakie zawsze otrzymywałam, zupełnie nie wiem, czy sobie poradzę.

Charisa wiedziała, że zgodnie z tradycją wielkich starych rodów każdy kolejny markiz dysponował większością pieniędzy całej rodziny. Łożył na utrzymanie licznych krewnych, zwłaszcza tych, którzy owdowiali lub byli samotni. Charisa uświadamiała sobie, że właśnie dlatego poprzedni markiz w tak wielkim stopniu korzystał z pomocy jej ojca.

Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że ta sprawa może stanowić ważki argument dla Gervaisa, który będzie chciał namówić ją, by za niego wyszła. Teraz jednak nie mogła znieść widoku tak bardzo zmartwionej ciotki. Położyła jej rękę na dłoni i powiedziała:

— Nie martw się, ciociu. Porozmawiam z papą, może uda mu się wytłumaczyć Gervaisowi jego zadania lepiej, niż je rozumie obecnie.

Była zła, gdy pomyślała, ile pieniędzy wydał Gervais na wino i szampana. Na pewno zapłacił również za przyjazd swych przyjaciół z Pary-

za. Podejmował ich po królewsku, podczas gdy nad członkami rodziny zawisła groźba obcięcia niewielkich uposażeń, jakie dotychczas otrzymywali.

Charisa w myślach policzyła krewnych i przerażona zdała sobie sprawę, że blisko dwadzieścia starszych osób, kobiet i mężczyzn, było finansowo uzależnionych od markiza. Wpadliby w wielkie rozgoryczenie, gdyby Gervais powiadomił ich, że nie może dłużej wypłacać im rocznej renty, jak to od lat czynił jego wujek.

Muszę porozmawiać z ojcem! — postanowiła. Ale na razie było to niemożliwe, bo stale mu ktoś towarzyszył. Gdy wreszcie obiad dobiegł końca i goście zaczęli się rozchodzić, poszła na górę. Wiedziała, że musi dokładnie przemyśleć, co powie ojcu.

I znowu miała to dziwne uczucie, że duch opata przestrzega ją, by nic nie mówiła. Nie rozumiała, dlaczego tak się dzieje.

Zanim się położyła, rozsunęła firanki i spojrzała na gwiazdy.

— Pomóż mi, pomóż — szeptała.

Nie była pewna, czy prosi o to opata, czy matkę.

Zostawiła firanki odsunięte. Blask księżyca oświetlał pięknie i łagodnie wnętrze pokoju.

Leżąc w łóżku, Charisa patrzyła w gwiazdy. Ponieważ świeciły jak Gwiazda Betlejemska, modliła się o pomoc w rozwiązaniu kłopotów, które nieustannie spadały jej na głowę.

W końcu zasnęła i śniła, gdy usłyszała wołanie:

— Charisa!

Wydawało jej się, że nadal śni, ale znowu usłyszała:

— Charisa, obudź się!

Otworzyła oczy i w blasku księżycy ujrzała głowę jakiegoś mężczyzny. Na wpół śpiąca pomyślała, że to pewnie ojciec. Czyjś głos odezwał się:

— Nie przestrasz się, Chariso. To ja, Vincent.

Niezupełnie rozbudzona odparła:

— Vincent nie żyje.

Mówiąc to, szerzej otworzyła oczy. Na jej łóżku siedział mężczyzna, który patrząc na nią, powiedział:

— Nie, Chariso, ja żyję!

Przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie głosu. Potem zawołała:

— Vincent! To naprawdę ty?

— Tak, to ja, żywy.

Charisa usiadła na łóżku. Potem zarzuciła ramiona Vincentowi na szyję i objęła go, tak jak w dzieciństwie.

— Vincent! Vincent! Czy to się dzieje naprawdę?

On również przytulił ją do siebie i trzymał w ramionach.

— To prawda! Chariso, potrzebuję twojej pomocy! Rozpaczliwie jej potrzebuję!

Charisa przytuliła policzek do jego twarzy.

— Oni... powiedzieli, że nie żyjesz — rzekła. — Och, Vincent, dlaczego oni myślą... że umarłeś?

— Mam właśnie zamiar ci to wytłumaczyć, Chariso. — Delikatnie odsunął ją od siebie i zobaczył, że po twarzy spływają jej łzy. Płakała ze szczęścia, bo on żył i był tutaj. Wyjął z kieszeni chusteczkę i delikatnie otarł jej oczy. — Kiedy zobaczyłem, że jesteś w tym pokoju, ucieszyłem się, bo tego właśnie chciałem. Zastanawiałem się, jak mógłbym się z tobą skontaktować.

— Jak... jak się tu dostałeś? — spytała Charisa. Zanim zdążył odpowiedzieć, krzyknęła: — Przyszedłeś tajnym przejściem!

— Oczywiście, że tak! — odparł.

Wytarła dłonią resztki łez.

— Opowiedz, co się stało.

I jeszcze raz krzyknęła:

— Och, Vincent... więc ty jesteś prawdziwym markizem... a Gervais robi tu takie straszne zamieszanie!

— Tego się właśnie po nim spodziewałem — odrzekł Vincent ponuro. — Ale zanim opowiem ci całą historię, Chariso — a muszę ci wiele powiedzieć — czy mogłabyś znaleźć dla mnie coś do zjedzenia?

Charisa przyjrzała mu się zdziwiona.

— Jesteś... głodny?

— Wydałem wszystkie pieniądze i od wczoraj nic nie jadłem.

Charisa krzyknęła ze zgrozy.

— Zaraz pójde i coś ci przyniosę — obiecała. — A w tym czasie...

Podeszła do stoliczka przy łóżku. Pani Bush miała zwyczaj, że każdemu gościowi opactwa stawiała przy łóżku karafkę czystej wody oraz niewielką puszkę herbatników, gdyby ktoś poczuł się głodny w nocy. Charisa wręczyła opakowanie Vincentowi, a ten bez słowa otworzył je i zaczął jeść ciasteczka. Nie jadł łapczywie, ale rozkoszował się każdym kęsem.

— Pójde i znajdę coś do jedzenia — powtórzyła Charisa.

— Tylko, na miłość boską, niech nikt się nie zorientuje, że tu jestem! — przestrzegł Vincent.

— Dlaczego?

— Właśnie to ci zaraz wyjaśnię.

Charisa zerwała się z łóżka i przeszła przez pokój. Szlafrok leżał na krześle. Przez chwilę zarys jej ciała w cienkiej nocnej koszulce prześwitywał w świetle księżyca.

Vincent uświadomił sobie, że myślał o niej jak o dziecku, które znał, a tymczasem ona stała się dorosłą kobietą. Zapinając szlafrok, Charisa oznajmiła:

— Zaraz wracam. Nikt tu nie przyjdzie, ale jeśli boisz się, że ktoś mógłby wejść, zamknij drzwi.

— Gdybyś to nie była ty, schowam się w tajnym korytarzu — odparł.

Charisa uśmiechnęła się do niego i wyszła z pokoju. Czuła, że jej się kręci w głowie.

Jak to możliwe, że Vincent żyje, czemu musi się ukrywać? Była tak bardzo ciekawa, że z trudem zmusiła się do zejścia na dół i zostawienia go samego. Widząc go przez chwilę w świetle księżyca, stwierdziła, że wyglądał zupełnie inaczej, niż go zapamiętała. Miał na sobie rozchełstaną koszulę. Już na pierwszy rzut oka robił wrażenie łachmaniarza. Nie miał żakietu, a gołe kolano wystawało z dziury w spodniach.

Co się stało? Dlaczego jest w takim stanie? — zadawała sobie pytania. Potem pomyślała, że musi skupić się na znalezieniu czegoś do

jedzenia. Przemknęła jak duch na bosaka po miękkim dywanie do końca korytarza. Tam zeszła wąskimi schodkami, które, jak wiedziała, prowadziły do kuchni.

Wszyscy spali. Był jednak pewien niebezpieczny moment, gdy musiała dostać się do spiżarni.

Jeden ze służących zawsze spał obok schowka ze srebrami. Gdy się do niego zbliżyła, na wszelki wypadek posuwając się powoli, usłyszała, jak chrapał. Uspokojona, zeszła na dół do kuchni korytarzem wyłożonym kamiennymi płytami.

Pomieszczenia kuchenne były bardzo duże i stare. Zbudowano je tak, by można było kilka razy w ciągu dnia ugotować jedzenie dla minimum pięćdziesięciu mnichów.

Panowała kompletna cisza. Chociaż kamienne płyty, wyszorowane do czysta, były bardzo zimne, Charisa boso poszła dalej, do znajdujących się za kuchnią spiżarni.

Stały tam zawsze wielkie otwarte kadzie z przechowywanym w nich mlekiem, z którego robiono śmietanę. Spiżarnie znajdowały się poniżej poziomu ziemi, więc niezależnie od pogody panował tam chłód. Na marmurowych płytach, umieszczonych tu przed setkami lat, przechowywano żywność. Okna nie były za-

słonięte, więc Charisa nie miała trudności, by w świetle księżycy znaleźć to, czego szukała.

Niedaleko od drzwi odnalazła talerze, noże i widelce.

Wzięła talerz i podeszła tam, gdzie dostrzegła resztki łososia, pozostałość po obiedzie. Szybko zorientowała się, że nie powinna brać zbyt dużo jednej potrawy. Pani Jones była kucharką w opactwie, odkąd Charisa sięgała pamięcią, i cechowała ją spozstrzegawczość. Mogłaby oskarżyć którąś z podkuchennych o zabranie jedzenia.

Charisa odkroiła więc plaster łososia, a potem wzięła dwa plasterki wołowego jęzora, który jak pamiętała, stał po śniadaniu na kredensie, oraz dwa plastry domowej szynki. Nałożyła również kilka kawałków pieczeni przeznaczonych na kolację dla służby. Była pewna, że nie wiadać, by czegoś ubyło. Na innej półce stała miska sałatki warzywnej i reszta sosu. W ten sposób wypełniła prawie cały talerz.

Podeszła do drzwi, przystając jedynie, by zabrać pół bochenka wiejskiego chleba upieczonego rano. Dodała jeszcze duży krążek masła. Masło robiono w opactwie i opatrywano je znakiem rodu markizów.

Ostrożnie, nie chcąc ryzykować, Charisa otworzyła drzwi spiżarni. Wszędzie było cicho. Przemknęła z powrotem po zimnych kamie-

niach. Prawie doszła do jadalni, gdy usłyszała, że służący ciągle chrapie w spiżarni. Wtedy pomyślała, że może zostało trochę wina podawanego podczas obiadu oraz szampana, którym częstowano gości w salonie.

Znalazła wyśmienite, kosztowne białe wino i dobry rocznik bordo. Wiedziała, że podczas choroby poprzedniego markiza, a nawet wcześniej, zapasy w piwnicach nie były uzupełniane. Uznała, że zakup takiej ilości wina świadczy o lekkomyślności Gervaisa.

Zajrzała do jadalni.

Jak przypuszczała, na kredensie stało wiele butelek opróżnionych w połowie. Leżało tam również kilka czystych noży i widelców. Położyła dwa z nich na talerzu i zabrała butelkę bordo. Była wypełniona w trzech czwartych, więc mogła ją bezpiecznie przenieść. Powoli, niosąc ciężki talerz i butelkę, weszła po schodach na górę.

Szła ostrożnie, uważając, by nie nadepnąć na przód własnego szlafroka. To nie tylko spowodowałoby hałas, ale byłoby katastrofą, bo Vincent nie miałby co jeść.

Teraz mogła pomyśleć o nim znowu. Trudno było uwierzyć, że tu wrócił i że żyje. Pobiegła korytarzem, bo była tak wzburzona, że chciała jak najszybciej znaleźć się przy nim.

Kiedy dotarła do sypialni, miała właśnie odstawić butelkę i otworzyć drzwi, gdy Vincent uchylił je od środka. Weszła, a on się nie odezwał, dopóki nie zamknął za nią. Wtedy powiedział:

— Martwiłem się, że cię tak długo nie ma. Nikogo nie spotkałaś?

— Nikt mnie nie widział — odparła Charisa. — Przyniosłam ci tyle jedzenia, że nie zgłodniejesz do rana.

Vincent wziął od niej talerz.

— Jesteś cudowną dziewczyną! Powiem ci, jak bardzo, gdy zjem wszystko, co mi przyniosłaś!

Postawił talerz na stole pod oknem. Stała tam misa z różami, którą odsunął na bok. Usiadł na krześle i zaczął jeść, a Charisa podeszła do stoliczka przy łóżku po szklanekę. Zauważyła, że w puszcze nie ma ani jednego herbatnika. Postawiła przed nim szklaneczkę i nalała czerwonego wina.

— Nie będę ci teraz dziękował — powiedział Vincent. — Najpierw zjem, a potem opowiem ci o wszystkim.

— Poczekam — rzekła z uśmiechem Charisa. Mówiąc to, przeszła przez pokój i zamknęła drzwi na klucz. W tym momencie pomyślała, że dziwnie się czuje, robiąc to w opactwie.

Następnie przypomniała sobie, że będąc w kaplicy, miała przeczucie jakiegoś zagrożenia. Teraz zrozumiała, że nie chodziło o nią, ale o Vincenta. I chociaż tego nie rozumiała, wiedziała, że to duch opata ją ostrzegał. To Vincent był w niebezpieczeństwie. Vincent, którego uważano za zmarłego, a który wrócił do domu.

scandalous

Vincent odłożył sztucce.

— Nawet nie myślałem, że jedzenie może mi kiedyś tak smakować! — rzekł z entuzjazmem.

Charisa roześmiała się, ale zaraz, poważniejąc, powiedziała:

— Mam nadzieję, że nie będziemy musieli przekonywać się o tym znowu!

Siedziała oparta o poduszki. Vincent wstał od stołu i podszedł do łóżka. Usiadł przy niej tak jak przedtem.

— Teraz mogę ci powiedzieć dokładnie o wszystkim, co się wydarzyło, ale nie chcę cię przestraszyć.

— Przestraszyć? — spytała, wiedząc, że zaraz to wyjaśni.

On jednak zaczął ostrożnie, jakby dobierając słowa, opowiadać o tym, co się stało w Indiach.

Najpierw zdał relację z wypadku na bazarze, gdy młody oficer został pchnięty nożem w plecy. Powiedział, że niedługo potem uświadomił sobie, że to on miał paść ofiarą zamachu. Omiął sprawę zadania, jakie pełnił w przebraniu na północy kraju. Wspomniał jedynie, że wracał stamtąd, gdy spotkał go Nicolas.

Charisa słuchała, zaciskając przed sobą ręce. Wpatrywała się ciemnymi oczami w Vincenta, którego dobrze widziała w świetle księżyca. Uświadomiła sobie, że bardzo schudł. Miał na twarzy zmarszczki, których nie było wówczas, gdy wyjeżdżał z Anglii.

Vincent opowiedział, jak Nicolas poinformował go, że znajomy oficer, który spał na miejscu Vincenta po jego wyjeździe, został zabity.

Charisa wydała stłumiony okrzyk zgrozy.

Potem Vincent wyjaśnił, że poszedł do strumienia, by przynieść chłodzące się tam piwo, a gdy wrócił do namiotu, zobaczył, że Nicolas został zamordowany. Jakby chcąc go ochronić, Charisa wyciągnęła ku niemu rękę. Vincent wziął ją w dłonie.

— Nie chcę cię denerwować — powiedział — ale potrzebuję twojej pomocy i jesteś jedyną osobą, której mogę zaufać.

— Wiesz, że chcę ci pomóc — zapewniła Charisa — ale kto mógłby chcieć cię zabić?

Vincent milczał. Nagle Charisa krzyknęła dość głośno:

— Gervais! Oczywiście, to Gervais!

— Dlaczego tak pomyślałaś? — cicho spytał Vincent.

— Bo jego przyjaciel, hrabia Jean de Soisson, który przyjechał wczoraj, powiedział mi, że Gervais „skakał z radości”, gdy dowiedział się o śmierci wuja George'a.

Zrobiła krótką pauzę, po czym dodała:

— Hrabia stwierdził, że Gervais był tak podekscytowany, iż mógłby dosięgnąć księżyc!

Vincent patrzył na nią w milczeniu, gdy mówiła przerywanym głosem:

— Nie widzisz tego? Właśnie mi powiedziałaś, że Nicolas przyniósł ci gazetę, w której była wiadomość o śmierci wuja George'a. A Gervais wiedział, że po jego śmierci zostanie kolejnym markizem! Mógł być tego pewny tylko wówczas, gdy wcześniej się ciebie pozbył!

Vincent uściśnął jej rękę.

— Jesteś bardzo inteligentną dziewczyną, zawsze taka byłaś. Kiedy Nicolas powiedział mi o śmierci tamtego znajomego oficera, domyśliłem się, że to Gervais próbował mnie zabić. Dlatego wyruszyłem wprost do domu potajemnie i nie mówiąc nikomu, kim jestem.

— Jak tego dokonałeś? — spytała Charisa. Widząc łańchmany, które miał na sobie, zrozumiała, że nie była to łatwa podróż.

— Płynąłem statkiem towarowym i zapracowałem na swój powrót do Anglii — wyjaśnił Vincent.

— To musiało być straszne! — zawołała Charisa. — Kiedy znaleziono ciało Nicolasa, wszyscy uznali, że to byłeś ty!

— Byłem pewien, że tak się stanie, gdy już wiedziałem, że on nie żyje. Zrozumiałem również, że nie mam innego wyjścia niż zniknąć.

— Skąd to ich przekonanie, że to ty byłeś tym zmarłym mężczyzną?

— Z powodu upału Nicolas zdjął mundur i miał na sobie tylko białe spodnie. Zabrałem wszystkie jego rzeczy, także buty, i zakopałem pod drzewami — wyjaśnił Vincent, a w jego głosie pobrzmiwał ból. — Potem puściłem wolno swojego konia. Nie miałem wątpliwości, że ktoś się nim zaopiekuje, zanim wojsko się o niego upomni.

— A sam jechałeś na koniu swego przyjaciela — dorzuciła Charisa, próbując to sobie wyobrazić.

— Tak, ale oczywiście w przeciwnym kierunku niż przedtem. Nie było nic, co mogłoby pomóc w identyfikacji Nicolasa.

Zamilkł, a po chwili mówił dalej:

— Wiedziałem, że zanim go znajdą, upała i słońce sprawią, że nie będzie go można rozpoznać. A było wiadomo, że powinienem przebywać w tej właśnie okolicy.

— Sądzę, że to było bardzo sprytne — zauważyła Charisa — i tak się właśnie stało. Kiedy papa poszedł do Ministerstwa Wojny, powiedziano mu, że zaginął jeszcze jeden oficer, który mógłby udzielić jakichś informacji na twój temat.

— W tym czasie przedzierałem się na wybrzeże. Miałem szczęście, że natknąłem się na frachtowiec wypływający do Anglii. Ale jedzenie było ohydne, a warunki na pokładzie chyba jeszcze gorsze!

— Biedny Vincent! To musiało być straszne! — westchnęła Charisa.

— Te grosze, które dostałem za harówkę na statku, skończyły się, gdy byłem sześćdziesiąt kilometrów stąd, i resztę drogi musiałem pokonać piechotą...

— I nie mogłeś kupić nic do jedzenia — dokończyła Charisa.

— Jadłem to, co znalazłem na polach i na drzewach. Naprawdę już wprost głodowałem, gdy zobaczyłem przed sobą opactwo.

— I wreszcie dotarłeś! — powiedziała miękko Charisa.

— Wśliznąłem się bocznymi drzwiami i jak najszybciej ukryłem się w tajnych korytarzach.

— To było rozsądne — mruknęła Charisa.

— Gdy tu szedłem, myślałem, że jesteś jedyną osobą, która może mi pomóc. Kiedy, zaglądając ukradkiem do pokoju zobaczyłem, że jesteś w opactwie, było to jak spełnienie moich modlitw!

— A ja właśnie myślałam, że powinnam stąd jak najszybciej wyjechać! Och, Vincent, tak bardzo się cieszę, że jestem na miejscu!

— Ja też — przyznał Vincent — ale boję się, że ściągnę na ciebie jakieś niebezpieczeństwo.

— Nie musisz się tego obawiać. Gervais mnie nie zabije.

— Skąd ta pewność? — spytał ostrym tonem Vincent.

— Ponieważ chce się ze mną ożenić!

Vincent spojrział na nią ze zdumieniem.

— To znaczy, że już ci się oświadczył? Ale przecież on chyba dopiero przyjechał.

— Najpierw pojechał do Londynu, ale zaraz gdy się tu zjawił, rozmawiał z moim ojcem i oznajmił, że chce mnie poślubić.

— Nigdy nie słyszałem o takiej szalonej impertynencji! — wykrzyknął Vincent. — I co powiedział twój ojciec?

Charisa przez chwilę milczała.

— Dobry Boże! — wykrzyknął Vincent.
— Chyba nie zamierzasz za niego wyjść?

— Oczywiście, że nie — odparła Charisa.
— Wiedziałam, że jest zły i niegodziwy, od pierwszej chwili, gdy tylko mnie dotknął...

— Dotknął? — przerwał Vincent.

— Pocałował mnie w rękę. To było straszne, odrażające i czułam, że mam do czynienia z kimś złym.

— Bo to morderca, dlatego — rzekł Vincent. — Ale chyba rozumiesz, Chariso, że każdy, kto się ze mną zetknie, jest w niebezpieczeństwie? Dlatego nie poszedłem do twojego ojca.

— Chcesz powiedzieć... że mógłby zabić papę? — spytała cicho Charisa.

— Myślę, że zabije każdego, kto zagrozi pozycji, jaką teraz zajmuje — odparł Vincent. — Zginęli już trzech mężczyzn, omyłkowo wzięci za mnie, ale dopóki mnie także nie zabije, nie możemy udowodnić, że to Gervais ich zamordował.

— Ależ musimy to udowodnić! — oświadczyła twardo Charisa.

— To się nie uda, jeśli nie będę leżał martwy u jego stóp! — powiedział ponuro Vincent.

Charisa wydała okrzyk przerażenia i mocno uścisnęła jego rękę.

— To się nie może zdarzyć! Nie moglibyśmy cię stracić, Vincencie, ale musimy jakoś pozbyć się Gervaisa.

Vincent westchnął.

— Wiem, ale łatwiej powiedzieć niż zrobić. Musimy po prostu czekać na rozwój wypadków.

— A w tym czasie zamierzasz ukrywać się w tajnych korytarzach?

— Tylko tam będę bezpieczny, a może przy odrobinie szczęścia znajdę jakieś dowody, które mógłbym przedstawić na policji.

Wstrzymał na chwilę oddech, a potem powiedział bardzo cicho:

— Ale sama rozumiesz, że gdy on się dowie, że żyję, zabije mnie i tym razem upewni się, czy się mnie na pewno pozbył.

— Ale on nie może... nie wolno mu! Och, Vincent, tak się boję. — Charisa rozpłakała się.

— Nie chcę cię straszyć — rzekł Vincent — ale proszę cię tylko, abyś pomogła mi przeżyć, gdy będę próbował znaleźć dowody, że on jest mordercą i oszustem.

— Wiesz, że zrobię wszystko, aby ci pomóc, tak jak wtedy, gdy byliśmy dziećmi.

Vincent uśmiechnął się.

— Zawsze mi pomagałaś i uczestniczyłaś we wszystkich moich przedsięwzięciach.

— Teraz też tak będzie — obiecała Charisa.
— Ale, kochany Vincencie, musimy być bardzo, bardzo ostrożni.

— Oczywiście, mnie również o to chodzi — powiedział — i będę całkowicie bezpieczny w Kryjówce Księdza.

Kryjówka Księdza znajdowała się pośrodku tajnych korytarzy. Była niegdyś używana jako kaplica, gdzie odprawiano tajne msze. Ukrywali się tam również księża, których ścigano (podczas prześladowania katolików). Charisa wiedziała, że jest to bezpieczne miejsce. Nikt nie znał drogi do tych tajnych przejść prócz najbliższej rodziny. Ale Vincent pokazał jej Charisę, gdy miała dziesięć lat. Była tam z nim wielokrotnie w ciągu kolejnych pięciu lat, dopóki Vincent nie wyjechał za granicę.

— Jeśli chcesz spać w Kryjówce Księdza, będziesz potrzebował poduszki i koców — oznajmiła. Nagle zatrzymała się z okrzykiem: — Jasne! Nie ma powodu, byś nie nocował we własnym pokoju!

Vincent spojrzał na nią zdumiony.

— Dlaczego tak myślisz?

— Kiedy rozmawiałam z Bessy i zwierzyłam się jej, że cieszę się, iż znowu jestem w swoim pokoju z moim ulubionym obrazem, powiedziała: „Pani Bush nigdy nie umieściłaby panienki

gdzie indziej, a pan Dawkins zamknął pokój panicza Vincenta na klucz i zostało tam wszystko tak, jak panicz zostawił, wyjeżdżając”.

Vincent uśmiechnął się.

— Jeśli Dawkins ma klucz, to znaczy, że nikt tam nie wejdzie nieoczekiwanie, a wiesz, że istnieje tajne wejście do mojego pokoju, tak jak do twojego.

— Możesz więc spać we własnym łóżku — powiedziała Charisa — ale pamiętaj, by rano je starannie posłać. Twoje ubrania wiszą oczywiście w szafach, nieruszane.

— Bardzo się cieszę — odparł Vincent. — Będę potrzebował przynajmniej nowej pary butów po przejściu tylu kilometrów.

— Przyda ci się też parę innych rzeczy! — Charisa roześmiała się.

— Wiem, ale dzięki temu nikt mnie przynajmniej nie próbował okraść!

Powiedział to lekkim tonem, ale Charisa odparła poważnie:

— Nikt prócz Gervaisa, który zajął twoje miejsce!

— Sądę, że jak zwykle wydał wszystkie pieniądze — rzucił gniewnie Vincent. — Wujek George był przerażony jego lekkomyślnością.

— Tylko pozbywając się ciebie, mógł odziedziczyć opactwo — stwierdziła Charisa — a te-

raz już próbuje znaleźć możliwość wyprzedaży różnych rzeczy.

— Wyprzedaży?! — wykrzyknął Vincent.

— Służący podsłuchał, jak pytał pana Sheldona, które obrazy nie figurują w inwentarzu, i sędzę, że sprzedał złoty krucyfiks i świeczniki z ołtarza w kaplicy opata.

— Niech go licho porwie! Jak on śmie ogłać opactwo!

Zerwał się na nogi i podszedł do okna. Stał tam chwilę, wyglądając na zewnątrz, ale Charisa wiedziała, że chce zapanować nad gniewem po tym, co usłyszał. Milczała więc i wkrótce Vincent podszedł do jej łóżka.

— Musisz się wyspać, Chariso. Na szczęście, jak powiedziałaś, mogę spać u siebie. Powiniennem jednak być czujny, bo ktoś może tam wejść i zobaczyć mnie.

— Nie sędzę, żeby tak się stało, chociaż oczywiście musisz być bardzo, bardzo ostrożny.

— Będę — obiecał Vincent. — Ty powinnaś jeszcze bardziej uważać. Nie mamy do czynienia z kimś normalnym, ale z osobą, która jak przerażony szczur będzie walczyć do ostatniego tchu, by utrzymać nielegalnie zdobyty majątek.

— Wiem — odparła Charisa — i będę się modlić o twoje bezpieczeństwo.

Zawahała się chwilę, a potem rzekła nieśmiało:

— Myślę, że Pan Bóg doprowadził cię bezpiecznie do domu, bo wszyscy tak bardzo cię kochali i byli tacy zrozpaczeni wiadomością o twojej śmierci.

— Ja też tak sądzę — odparł cicho Vincent. — Mam wielkie szczęście, że mi pomagasz.

Pochylił się, a Charisa zarzuciła mu ręce na szyję tak naturalnie, jak to robiła dawniej. Uściśnęła go, po czym powiedziała:

— Jak mógłbyś nie czuć się bezpieczny w swoim własnym domu, skoro wiem, że nie tylko duchy zakonników, ale i samego opata Mawdelyn będą nad tobą czuwać?

Vincent pocałował ją w policzek.

— Ty też, droga mała kuzynko, ale pamiętaj, nikomu ani słowa!

— Oczywiście, ale powinnam powiedzieć o tym papie. Wiem, że chciałby pomóc zdemaskować Gervaisa.

— Nie możesz ryzykować jego życia ani nikogo innego, jeszcze nie w tej chwili — zaprotestował Vincent.

Jeszcze raz pocałował ją w policzek i zmierzzał w kierunku wyjścia. Charisa cicho zawołała:

— A co ze śniadaniem? Przyniosę ci coś, ale jak ci dać znać, że już na ciebie czeka?

Vincent zastanawiał się chwilę.

— O której cię zbudzą? — spytał.

— O ósmej. Będę w pokoju śniadaniowym o wpół do dziewiątej. Zazwyczaj nikogo tam nie ma prócz papy i mnie.

— Więc jeśli tu przyjdiesz po śniadaniu, będę czekał za drzwiami do tajnego korytarza. Pamiętaj, może tu być służba, więc uchylę drzwi tylko na tyle, żebyś mogła wstawić jedzenie do środka. I pamiętaj, byś nic nie mówiła.

— Ale gdybym musiała coś powiedzieć, bo na przykład będzie to coś ważnego?

— Zostaw kartkę papieru, chusteczkę do nosa lub coś innego w szparze przy wejściu do kryjówki. Będę sprawdzał kilka razy dziennie albo, jeśli chcesz, co dwie godziny, i dowiem się, że mnie potrzebujesz.

Charisa westchnęła z ulgą.

— Chcę, żebyś tak robił, a ja jakoś zdobędę jedzenie.

— Nawet jeszcze nie podziękowałem za to, co mi już przyniosłaś. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek był tak głodny, nawet w Indiach — powiedział Vincent.

— Zrobię wszystko, żebyś już nigdy tak nie głodował! — obiecała Charisa.

Vincent uśmiechnął się do niej. Potem, gdy podszedł do ciemnego rogu sypialni, usłyszała tylko odgłos przesuwania ścianki do ukrytego przejścia. Wśliznął się tam, drzwi się za nim zamknęły i została sama.

Przez chwilę trudno było jej uwierzyć, że to wszystko działo się naprawdę. Vincent wrócił do domu, ale ukrywał się w tajnych korytarzach, by Gervais nie mógł go znaleźć. Teraz zrozumiała, dlaczego bliskość Gervaisa napełniała ją przerażeniem. Nienawidziła go nie tylko za to, co mówił i robił, ale za to, kim był.

Ale w jakiś sposób, z Bożą pomocą, Vincent powinien zająć należne mu miejsce. Gervais zostanie wyrzucony, wróci do Paryża, skąd przybył. Charisa zdawała sobie jednocześnie sprawę, że to nie będzie takie łatwe.

Skoro nie udało mu się zabić Vincenta w Indiach, czy nie łatwiej mu będzie zamordować go tutaj, w Anglii? — pomyślała z przerażeniem.

Zaczęła się modlić żarliwie i rozpaczliwie o to, by Gervais, który trzykrotnie już próbował zabić Vincenta, nie usiłował tego zrobić ponownie.

Gdy tylko Charisa obudziła się rano, zaczęła zastanawiać się, jak niepostrzeżenie dostarczyć Vincentowi coś do zjedzenia. Nie było to takie proste. Musiała wykazać się pomysłowością,

jeśli nie chciała wzbudzić podejrzeń domowników. Gervais mógłby domyślić się, że najłatwiej zdobyć jedzenie w porze śniadania.

Kiedy zeszła na dół, miała z sobą wyplatany koszyk, w którym często nosiła kwiaty. Tak jak się spodziewała, przy stole zastała tylko ojca. Pocałowała go na dzień dobry, on zaś powiedział:

— Jeśli nikt się tu nie pokaże, proponuję, byśmy pojeździli razem konno. Później mam umówione spotkanie, więc będzie to wymówka, że nie czekaliśmy na Gervaisa ani na nikogo innego.

— Byłoby cudownie, papo! — ucieszyła się Charisa.

Pułkownik jadł śniadanie, czytając „Timesa”. Gazeta była umieszczona przed nim na srebrnej podpórce. Charisa, wiedząc, że nie zainteresuje się teraz jej poczynaniami, podeszła do kredensu.

Stała tam szynka, od której odkroiła wczoraj kilka plasterków. Był też salceson, specjalność pani Jones. Ponieważ był jeszcze niepokrojony, zabrała kilka kawałków. Rzuciła okiem na ojca, czy nie patrzy, co ona robi. On jednak rozpostarł gazetę i Charisa nie widziała spoza niej nawet jego twarzy.

Ostrożnie włożyła salceson do swojego koszyka, przykrywając go kawałkiem papieru

leżącym na dnie. Potem umieściła tam szynkę i dwie grzanki, wkładając między nie duży kawałek masła.

W tym momencie ojciec odłożył gazetę. Charisa wsunęła więc koszyk pod stół, obok krzesła, na którym chciała usiąść. Potem zaczęła nakładać sobie śniadanie spośród dań stojących na innym kredensie. Prawie skończyła jeść, gdy tak jak poprzedniego dnia do jadalni wkroczył hrabia.

Zanim zdążył się przywitać, Charisa gwałtownie wstała, podniosła koszyk i zawiesiła go sobie na ręce.

— Spóźniłem się — powiedział skruszonym głosem hrabia — ale nie wierzę, żeby ktoś tak piękny mógł być tak twardego serca, by wyjść w tym momencie!

— Muszę przygotować się i wypróbować wszystkie wierzchowce na łące, na której byliśmy wczoraj. Wyzwałam papę na zawody.

Mówiąc to, Charisa wyszła z pokoju. Miała nadzieję, że hrabia nie zechce się do nich przyłączyć, skoro w grę wchodzi skoki przez przeszkody. Potem pobiegła schodami na górę do swojej sypialni.

Przestraszyła się, że pokojówki przyjdą posłać łóżko. Z ulgą stwierdziła, że już u niej posprzątały. Nacisnęła ukryty uchwyt, otworzyła zastawkę i wstawiła tam koszyk. Zamknęła wej-

ście do kryjówki, wzięła cylinder i rękawiczki do konnej jazdy i zbiegła na dół. Ojciec właśnie wychodził z pokoju śniadaniowego.

— Czy hrabia będzie nam towarzyszył? — spytała szeptem Charisa.

— Nie, jeśli się pośpieszymy! — odparł pułkownik. Oczy mu błyszczały i Charisa wiedziała, że jest zadowolony, iż może wywieść w pole hrabiego, którego nie lubił.

Szybko poszli do stajni. Z najwyższym trudem Charisa zdołała się powstrzymać przed opowiedzeniem ojcu, co się zdarzyło w nocy. Jednak Vincent przekonał ją, że byłoby to niebezpieczne.

Poza tym, jak powiedział, nie miał żadnych dowodów, że Gervais usiłował go zamordować. Ale nikt inny nie skorzystał na jego śmierci. Im bardziej Charisa się nad tym zastanawiała, tym trudniejsze wydawało się znalezienie takich dowodów, które byłyby wystarczające dla sądu.

Mogła się tylko modlić, jak powiedziała Vincentowi, że jakimś cudem znajdą coś takiego.

Kiedy wróciła wraz z ojcem do domu, hrabia i Gervais powitali ich wymówkami.

— Wiedzieliście, że chciałem z wami pojechać — zwrócił się Gervais do Charisy.

— Musisz nauczyć się wiejskich obyczajów — odpowiedziała swobodnie — papa i ja za-

wsze jeździmy wcześniej, a poza tym papa ma dziś umówione spotkanie.

Gervais popatrzył pytająco na pułkownika.

— Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza. Zaprosiłem tu zarządcę mojej stajni wyścigowej, bo inaczej musiałbym wracać do domu.

— Oczywiście, że nie chcę, aby pan już jeździł, więc cieszę się, że umówił się pan tutaj, by nas nie opuszczać.

— Dziękuję — powiedział pułkownik.

— Ile ma pan koni wyścigowych, pułkowniku? — wypytywał Gervais. — Czy odnoszą sukcesy?

Charisa domyśliła się, że raczej pyta, czy przynoszą pieniądze. '

Odwróciła się. Pomyślała, jakie to okropne, że ta żądza pieniędzy doprowadziła go do popełnienia morderstwa.

Po chwili przyłączyła się do nich madame Dubus. Charisa zorientowała się, że cała trójka oczekuje przyjazdu przyjaciół z Paryża. Dowiedziała się, że mają się zjawić w porze lunchu.

— Załatwiłem im wczoraj nocleg w Londynie — usłyszała, jak Gervais mówi do ojca — bo było za późno, by tu przyjechali. Zatrzymali się u Claridge'a, gdzie z pewnością było im wygodnie.

— Oczywiście — przytaknął pułkownik.

— Już wysłałem powozy na stację — ciągnął Gervais — a pan Sheldon zapewnił mnie, że będą tu o wpół do pierwszej.

— Będzie ci miło wśród przyjaciół, a więc chyba lepiej będzie, jeśli wrócimy z Charisą do domu — rzekł pułkownik.

Charisa z trudem powstrzymała się, by nie krzyknąć z przerażenia. Zupełnie zapomniała, że wcześniej powiedziała ojcu, iż chce wracać najszybciej, jak to będzie możliwe. Ale teraz był tu Vincent i jego życie zależało od niej. Nie mogła stąd wyjechać. Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Gervais wykrzyknął:

— Jak może pan sugerować coś takiego?! Oczywiście, chcę, żeby pan został, pułkowniku, i marzę o tym, by Charisa poznała moich przyjaciół. Proszę nawet nie myśleć o wyjeździe!

— Ja także nie pozwolę panu na to — powiedziała madame Dubus przymilnym tonem. Wpatrywała się przy tym w pułkownika i wsunęła mu rękę pod ramię. — Czy pan nie zauważył, *mon brave*, że wszyscy bardzo pana pokochaliśmy i tak bardzo się cieszymy, że jest pan z nami, że aż trudno to wyrazić? — spytała.

— Właśnie miałem to samo powiedzieć!
— wykrzyknął Gervais.

Pułkownikowi nie pozostało nic innego jak podziękować za uprzejmość i zapewnić, że oczywiście cieszy się na spotkanie z grupą przyjaciół z Paryża.

Powozy z gośćmi przyjechały punktualnie o wpół do pierwszej. Kiedy Charisa zobaczyła tych ludzi, uznała, że są tacy, jak się spodziewała.

Najpierw pojawiły się panie, które były równie eleganckie i wymowne jak madame Dubus. Miały jednak w sobie coś, co się nie podobało Charisie. Doszła do wniosku, że nie polubiła ich dlatego, iż były przyjaciółkami Gervaisa. Jej matka także by ich nie zaakrobowała.

Trzej mężczyźni byli bardzo podobni do hrabiego. Nadmiernie wystrojeni, prawili przypochlebne komplementy i patrzyli zuchwale, w sposób, który wprawiał Charisę w zakłopotanie.

Czwarty z mężczyzn był prywatnym kapelaniem Gervaisa, co natychmiast zauważyła Charisa, miał bowiem na sobie sutannę. Kiedy zdjął kapelusz, jaki noszą duchowni, zobaczyła, że na czubku głowy ma wyciętą tonsurę, a po bokach siwe włosy.

Gdy Gervais przedstawił go jej, od razu wiedziała, że nie jest to ktoś uduchowiony. Dostrzegła jego ordynarne rysy, cienie pod oczami i głębokie bruzdy w kącikach ust. Odniosła dziwne wrażenie, że wygląda na rozpustnika.

Kapelan oczywiście z ochotą przyjął kieliszek szampana, który podano. Zanim poszedł na lunch, wypił trzy lampki tego trunku.

Zdaniem Charisy rozmawiali dowcipnie. Ale w ich konwersacji było tyle niedomówień, że nie zawsze wiedziała, o co chodzi.

Wyglądało na to, że przyjaciele Gervaisa bardzo go lubią. Z szacunkiem słuchali tego, co mówił, i zawsze się zgadzali na jego propozycje. Panie, podobnie jak madame Dubus, flirtowały z mężczyznami, z jej ojcem również.

Mężczyźni prawili Charisie wyszukane komplementy. Jednak cały czas widziała wyraz ich oczu, który jej się nie podobał. Trudno było określić, co on oznaczał, ale starała się na nich nie patrzeć.

Lunch był jak zwykle wyśmienity, a ona zastanawiała się jak zdobyć jedzenie dla Vincenta. Oczywiście nie mogła zabrać nic z jadalni.

Wszyscy udali się do salonu. Charisa zauważyła, że talerz z przekąskami, którymi częstowano wraz z szampanem, stoi niemal nietknięty. Przyglądała mu się, zastanawiając się, jak mogłaby go zanieść Vincentowi, i nagle znalazła sposób. Zabrała talerz i podeszła w kierunku okien.

— Gdzie pani idzie, mademoiselle? — spytał jeden z Francuzów, gdy przechodziła obok niego.

— Nakarmić ptaki — odpowiedziała Charisa. — Zaraz wracam.

Zanim zdążył się podnieść z krzesła, by jej towarzyszyć, wymknęła się przez okno. Pobiegła wzdłuż domu i weszła tylnymi drzwiami. Idąc w górę po schodach, była pewna, że o tej porze służba już nie pracuje i nikogo nie spotka.

Znalazła się w swoim pokoju, zamknęła drzwi i otworzyła wejście do kryjówki. Nikogo tam nie było. Jednak koszyk, w którym przyniosła Vincentowi śniadanie, był pusty. Podniosła go, by włożyć do środka jedzenie, gdy pojawił się Vincent. Wyglądał już zupełnie inaczej niż poprzedniego wieczoru. Ogolony, uczesany, porządnie ubrany, był bardzo przystojny.

— Jak się dziś czuje mój anioł stróż? — spytał. — Dziękuję za śniadanie.

— Obawiam się, że na lunch będziesz musiał zadowolić się tymi kanapkami — odrzekła Charisa. — I muszę zabrać z powrotem talerz.

— Jesteś wspaniała! Wiesz, jak ci jestem wdzięczny.

Przełożył kanapki do koszyka i powiedział:

— Nie bardzo mi się podobają z wyglądu ci ludzie, którzy przyjechali dzisiaj z Paryża!

— Widziałeś ich?

— Rzuciłem na nich okiem, gdy wchodzili do hallu, a potem się wycofałem.

— Dlaczego?

— Byłoby błędem wpatrywać się w kogoś, kto instynktownie mógłby to wyczuć.

— Tak, oczywiście, masz rację! Ale chciałam, żebyś zobaczył tego okropnego niskiego mężczyznę, którego Gervais nazywa swoim prywatnym kapelanem.

Vincent spojrział na nią ze zdumieniem.

— Prywatnym kapelanem? — zapytał.

— Nie miałam czasu, żeby ci powiedzieć, ale proboszcz, którego wszyscy tak lubimy... jestem pewna, że go pamiętasz...

— Oczywiście, że tak! — wtrącił Vincent.

— ...jest bardzo zmartwiony — kontynuowała Charisa — bo Gervais powiedział mu, że już nie będzie odprawiał comiesięcznych nabożeństw w kaplicy, bo posłał po własnego kapelana.

— Trudno mi w to uwierzyć — zauważył Vincent. — Przyjrzę się oczywiście temu człowiekowi.

Zmarszczył brwi, a Charisa szybko oznajmiła:

— Muszę zabrać talerz i wracać. Powiedziałam jednemu Francuzowi, nie pamiętam, jak się nazywa, że zabieram kanapki, by nakarmić ptaki.

Vincent roześmiał się.

— Jakkolwiek byś' mnie nazwała, jestem bardzo wdzięczny! Dziękuję, Chariso!

Dziewczyna zamknęła drzwi od kryjówki i pobiegła schodami z powrotem do ogrodu. Kiedy ostrożnie weszła do salonu, zorientowała się, że całe towarzystwo rozmawia po francusku i że wszyscy śmieją się głośno z jakichś dowcipów. Po minie swego ojca wywnioskowała, że te żarty są dość ryzykowne.

Gdy stawiała talerz na stole, Gervais podniósł się ze swego miejsca. Podeszedł do niej i otoczył ramieniem jej talię.

— Chciałbym, byście popatrzyli na moją śliczną młodą kuzynkę — zwrócił się do przyjaciół.

Pod wpływem jego dotyku Charisa znowu poczuła do niego odrazę, tak jak poprzednio. Teraz, wiedząc, że ma do czynienia z zabójcą, jej doznania były jeszcze silniejsze. Chciała się odsunąć, ale jej nie puścił.

— Czy widzieliście kiedyś kogoś tak pięknego, tak niewinnego i czystego? — spytał Gervais.

Mówił po francusku, co nie brzmiało tak dosadnie jak po angielsku. Charisa poczuła się jednak zakłopotana.

— Jak można nie wielbić takiego piękna? — ciągnął Gervais. — Wiem, że będziecie

mnie uważać za szczęściarza, skoro mam tak cudowną i śliczną... krewną.

Ostatnie słowo dodał po wyraźnej pauzie. Charisa wiedziała, że chciał powiedzieć „narzeczoną” .

Ostatecznie odsunęła się od niego i podeszła do ojca. Nie była pewna, czy słyszał, co mówił Gervais, bo madame Dubus szeptała mu coś do ucha. Charisa stanęła więc przed nim, po czym wzięła go za rękę.

— Muszę z tobą pomówić o czymś bardzo ważnym, papo — oznajmiła. — Proszę, chodź ze mną.

Ojciec był zdziwiony, ale wstał. Wzięła go pod ramię i wyprowadziła z pokoju. Dopiero gdy znaleźli się za drzwiami, powiedziała:

— Przepraszam, papo, że cię zabrałam, ale Gervais mówił o mnie do swych przyjaciół w wulgarny sposób, więc było mi nieprzyjemnie i musiałam wyjść.

— Rozumiem — rzekł pułkownik — myślę, że Gervais wypił za dużo podczas lunchu. Najlepiej nie zwracaj na niego uwagi.

— Tak właśnie zamierzam zrobić — odparła Charisa.

— Myślę, że najrozsądniej będzie wrócić zaraz do domu — zauważył pułkownik.

Charisa milczała. Zastanawiała się, czy

uda się przekonać Vincenta, by pojechał wraz z nimi. Potem zrozumiała, że to niemożliwe. Jediną szansą na znalezienie dowodu przeciwko Gervaisowi było pozostanie tu, na miejscu, w ukryciu. Zmusiła się więc, by powiedzieć innym tonem:

— Nie, oczywiście, że nie, papo. Jestem niemądra, chociaż mówiąc prawdę, te wszystkie wyszukane komplementy mnie peszą.

— To jasne — przyznał pułkownik.

Położył rękę na ramieniu córki i przytulił ją.

— Zostaniemy tu jeszcze dwadzieścia cztery godziny, a potem, niezależnie od tego, co powie Gervais, wracamy do domu.

Charisa nie odpowiedziała. Modliła się, żeby dwadzieścia cztery godziny wystarczyły Vincentowi na znalezienie odpowiedniego dowodu.

Potem to Gervais będzie musiał opuścić opactwo, nie oni.

Charisa wstała wcześniej niż zazwyczaj. Kiedy zeszła na śniadanie, nie było jeszcze nikogo. Służba nie czekała przy stołach. Dziewczyna wiedziała więc, że ma jadalnię do swojej dyspozycji, dopóki nie pojawi się ojciec. Pośpiesznie pakowała do koszyka jeszcze więcej jedzenia niż poprzedniego dnia. Właśnie włożyła do niego dwie dojrzałe brzoskwinie i wsunęła wszystko pod stół jak wczoraj, gdy wszedł jej ojciec.

— Dzień dobry, kochanie! — powiedział.
— Jak zwykle jesteśmy pierwsi, więc proponuję przejażdżkę, zanim reszta towarzystwa się do nas przyłączy.

Charisa zorientowała się, że nie spodobałi mu się goście Gervaisa. Już podczas kolacji zauważyła, że patrzy na nich z dezaprobatą.

Mimo pochlebstw madame Dubus nie było mu przyjemnie. Charisa wiedziała, że będzie nalegał na wyjazd do domu. Co się jednak wówczas stanie z Vincentem? Musi coś wymyślić już teraz — doszła do wniosku.

Szybko zjadła śniadanie i poszła na górę po swój cylinder i rękawiczki do konnej jazdy. Otworzyła drzwi do kryjówki i wstawiła koszyk do środka. Miała nadzieję, że zastanie Vincenta. Nie było po nim jednak śladu. Zeszła więc na dół, gdzie czekał na nią ojciec.

Odbyli bardzo miłą przejażdżkę. Koń, którego dosiadła Charisa, brał przeszkody lepiej niż kiedykolwiek wcześniej. Ponieważ ojciec nie miał nic szczególnego do roboty, wrócili do opactwa dopiero około południa.

— Sądzę, że do tej pory już wszyscy wstali — powiedziała Charisa, gdy podjechali pod drzwi.

— Mam nadzieję — odparł ojciec dość sztywno. — To śmieszne, by młodzi ludzie wstawali tak późno, będąc na wsi!

Mówił swym „wojskowym” tonem i Charisa się roześmiała.

Potem poszła na górę, by zdjąć strój do konnej jazdy i włożyć śliczną lekką sukienkę.

— Wygląda na to, że dziś będzie gorąco — rzekła Bessy, pomagając się jej przebrać.

— Lubię upaść — odpowiedziała Charisa — ale opalę się, gdy wyjdę do ogrodu.

— Jeśli panienka to zrobi, to będzie zbrodnia zniszczyć taką piękną cerę.

Charisa uśmiechnęła się do niej i zeszła na dół. Zastanawiała się jednocześnie, czy w salonie są znowu ustawione przekąski i czy nie ma tam nikogo. Domyślała się, że przed lunchem będzie gościom serwowany szampan. Może więc nie uda się zdobyć niczego innego dla Vincenta. Postanowiła wziąć od razu kilka kanapek, a potem spróbować znaleźć coś na kolację. Podeszła do drzwi pokoju zwanego pokojem Reynoldsa, bo na ścianach wisiały tam portrety tego znanego artysty.

Miała właśnie otworzyć drzwi, gdy pomyślała, że może być tam Gervais, a nie chciałaby go spotkać. Bardzo ostrożnie nacisnęła klamkę, by móc się wycofać, gdyby istotnie tam był.

W tym momencie usłyszała jego głos:

— Odprawimy nabożeństwo dziś wieczorem, a potem Charisa będzie musiała za mnie wyjść.

Stała cała zdrętwiała.

— Oczywiście, że tak! — usłyszała głos madame Dubus. — Nikt więcej się jej nie oświadczy!

Oboje się roześmieli. Bardzo cicho Charisa zamknęła drzwi. Przestraszona pobiegła na górę do swojego pokoju.

Co miał na myśli Gervais, mówiąc, że będzie musiała go poślubić? Dlaczego nikt inny nie miałby proponować jej małżeństwa? Nie była w stanie pojąć, o co chodziło Gervaisowi i madame Dubus.

Jednocześnie czuła, że ta dwójka wprawia ją w przerażenie. Położyła się do łóżka, zamykając drzwi na klucz.

Potem otworzyła wejście do kryjówki. Jeśli nie będzie tam Vincenta, musi go znaleźć. Na szczęście stał za drzwiami. Trzymał w rękach koszyk, który zostawiła mu po śniadaniu.

— Och, Vincent! — zawołała. — Boję się!

— Boisz się? Czego? Co się stało? — zapytał.

— Zeszłam na dół i pomyślałam, że przyniosę ci kilka kanapek z „pokoju Reynoldsa”.

Mówiła niemal bez tchu, więc Vincent wszedł do jej pokoju i odstawił koszyk.

— I co cię tam zdenerwowało?

— Usłyszałam, jak Gervais i madame Dubus rozmawiają.

— Powiedz, co mówili.

Charisa powtórzyła ich słowa. Ponieważ teraz przeraziła się jeszcze bardziej, złapała Vincenta za rękę. Zaciśnęła jej dłoń w swojej. Kiedy przytoczyła, co mówiła madame Dubus, spytał ostrym tonem:

— Jak nazwałaś tę kobietę, która rozmawiała z Gervaisem?

— Madame Dubus. Ariste Dubus. Przyjechała tu z Gervaisem. Myślałam, że ją widziałeś.

— Widziałem, ale nie wiedziałem, jak się nazywa! — odparł Vincent.

Powiedział to tak ponuro, że Charisa spojrzała na niego pytająco, a potem odezwała się:

— Co to wszystko znaczy? Co oni knują? Dlaczego Gervais powiedział, że po tym nabożeństwie będę musiała za niego wyjść?

Przez chwilę Vincent milczał. Potem zapytał:

— Gdzie jest twój ojciec?

Charisa spojrzała na niego ze zdumieniem.

— Poszedł się przebrać na górę. Pewnie jest w swoim pokoju.

— Przyrowadź go! — rzekł Vincent.

— Przyrowadź go szybko!

— Ale mówiłeś, żeby mu nic nie mówić...

— zaczęła Charisa.

— Zrób, jak powiedziałem! — odezwał się Vincent stanowczo. — Sprowadź ojca tutaj jak najszybciej!

Charisa chciała, by wyjaśnił, czemu zmienił zdanie, ale pomyślała, że jeśli się nie pośpieszy, ojciec zejdzie na dół.

Zamknęła na klucz sypialnię i pobiegła korytarzem. Pokój ojca był niedaleko. Gdy tam dotarła, ku swej uldze zobaczyła, że ojciec nadal jest u siebie. Był z nim jego kamerdyner.

— Chcę z tobą pomówić, papo. To ważne — oświadczyła.

Wilkins taktownie wyszedł.

Gdy zostali sami, Charisa podbiegła do ojca i położyła mu dłoń na ramieniu.

— Chcę, żebyś poszedł ze mną, papo i... spróbuj się nie dziwić temu, co zobaczysz.

— O czym ty mówisz? — spytał pułkownik.
— Czy ten prostak znowu cię zdenerwował?

— Nie, nie chodzi o Gervaisa — odparła Charisa. — Ale proszę, chodź do mojego pokoju!

Pułkownik podniósł złoty zegarek leżący na toalecie i włożył go do kieszonki kamizelki. Potem powiedział:

— Jesteś bardzo tajemnicza, kochanie, ale oczywiście zrobię wszystko, o co prosisz.

Charisa wzięła go za rękę. Poszli szybko korytarzem do jej pokoju. Otworzyła drzwi i pułkownik wszedł za nią. Charisa nie zdziwiła się, że Vincenta tam nie ma. Wiedziała, że ukrył się, by nie zauważyła go żadna ze służących. Zamknęła drzwi i ojciec odezwał się:

— A teraz powiedz, o co w tym wszystkim chodzi...?

Gdy to mówił, zastawka od kryjówki odsunęła się i pojawił się Vincent. Przez chwilę pułkownik wpatrywał się w niego w osłupieniu. Potem wykrzyknął:

— Vincent, kochany chłopcze! To ty żyjesz?! Dlaczego nas nie zawiadomiłeś?

— Muszę panu wiele opowiedzieć, pułkowniku, ale tylko Charisa wie, że tu jestem — oznajmił Vincent.

— Nie rozumiem — odparł pułkownik. — Powiedziano nam, że nie żyjesz!

— Wiem — odrzekł smutno Vincent — i żyję tylko cudem, a raczej trzykrotnym cudem, i mogę opowiedzieć o tym, co się stało.

Pułkownik miał właśnie się odezwać, gdy Vincent zwrócił się do Charisy:

— Chciałbym, żebyś poszła na dół i zachowywała się, jakby się nic nie stało. Postaraj się być naprawdę miłą dla wszystkich, łącznie z Gervaisem.

Charisa skrzywiła się trochę, lecz Vincent nie ustąpił.

— Wiem, wiem, ale musimy z twoim ojcem wszystko zaplanować, a później ci o tym powiemy.

Charisa chciała go prosić, aby pozwolił jej zostać. Pomyślała jednak, że to może okazać się niebezpieczne i że musi robić, co jej polecił.

— Pójdę na dół — zgodziła się dość niechętnie — ale obiecaj, że powiesz mi, co z papą zamierzacie zrobić.

— Jeśli nie będę mógł powiedzieć ci wcześniej, idź do swego pokoju i połóż się około piątej. Powiedz, że boli cię głowa i nie chcesz, by ci przeszkadzano.

— Dobrze — odparła Charisa.

Zanim ruszyła w kierunku drzwi, ścisnęła ojca za ramię.

— Wspaniale, że Vincent jest znowu z nami, papo! — powiedziała cicho i wyszła na korytarz.

Usłyszała, jak Vincent zamyka za nią drzwi. Miała ochotę zostać i posłuchać, o czym mówi. Konieczność zejścia na dół i przebywania w towarzystwie wszystkich gości Gervaisa była prawdziwą udręką. Pomyślała jednak, że może wreszcie stanie się coś dobrego. Intrygowało ją, co miał na myśli Gervais mówiąc, że po nabożeństwie będzie musiała za niego wyjść. Wydało jej się bardzo dziwne odprawianie specjalnego nabożeństwa w piątek wieczorem. Może Gervais uznał, że po przyjeździe jego prywatnego kapelana tak wypada.

Chciałabym ukryć się gdzieś i usłyszeć, o czym rozmawiają papą i Vincent — nie mogła uwolnić się od tej myśli.

Wiedząc jednak, że musi spełnić polecenie Vincenta, zdecydowanym krokiem weszła do „pokoju Reynoldsa”. Całe towarzystwo jak zwykle piło alkohol. Kieliszki napełniano jeden za drugim, a dopiero zbliżała się pora lunchu.

Charisa spodziewała się, że zaraz zostanie on zapowiedziany, gdy nagle ojciec wszedł do pokoju. Domyśliła się, że celowo nie patrzy na nią. Podeszedł do Gervaisa siedzącego z kieliszkiem szampana w ręku.

— Mam nadzieję, że pozwolisz mi wziąć powóz, bo muszę natychmiast jechać do domu — powiedział.

— Co się stało, pułkowniku? — spytał Gervais.

— Właśnie mnie poinformowano, że doszło do wypadku i jeden z moich koni jest ranny. — Przerwał i dodał przynaglająco: — Rozumiesz, że muszę dopilnować, czy wezwano lekarza, i sprawdzić, czy rana jest naprawdę groźna.

— Tak, oczywiście — przyznał Gervais — ale zapewne będzie pan mógł poczekać do lunchu?

— To bardzo miłe z twojej strony, ale zjem coś w domu — odparł pułkownik.

— No cóż, mam nadzieję, że to nic poważnego — powiedział Gervais — więc, rzecz ja-

sna, wróci pan jak najszybciej. Przez ten czas zaopiekujemy się pańską córką.

— Jestem tego pewny — rzekł pułkownik.

Podszedł do Charisy i powiedział:

— Nie martw się, kochanie. To ta stara Eliza, która nigdy nie była mocna w nogach!

Jednocześnie ścisnął jej palce, a Charisa wykrzyknęła:

— Och, tak mi przykro, papo, ale jestem pewna, że doktor White się nią zaopiekuje.

— Oczywiście, że tak. Nie zostaną tam dłużej, niż potrzeba.

Mówiąc to, pułkownik pocałował Charisę w policzek. Po uścisku jego ręki zorientowała się, że popiera jej działania. Gdy tylko wyszedł z pokoju, zapragnęła iść wraz z nim.

Zrozumiała, dlaczego wziął powóz. Gdyby miał jechać sam, pojechałby konno. To, że potrzebny był mu powóz, znaczyło, że zabrał z sobą Vincenta. Dokąd pojechali i po co?

Towarzyszyła im myślami i trudno jej było słuchać komplementów pod swoim adresem lub odpowiadać na dowcipne uwagi, robione przez Francuzów towarzyszących jej podczas lunchu. Była tak niespokojna, że nie wiedziała, co je i pije.

Złapała się na tym, że stale spogląda na kapelana siedzącego po przeciwnej stronie stołu.

Pomyślała, że wygląda, jakby wypił jeszcze więcej niż zazwyczaj i stał się bardzo nieprzyjemny. Dziwiło ją, że Gervais nie zaangażował sympatyczniejszego mężczyzny.

Po lunchu markiz zaproponował wszystkim przejażdżkę po posiadłości. Ponieważ goście dużo wypili, przyjęli jego ofertę na wpół świadomie.

W końcu usadowili się w trzech powozach, prócz pań i kapelana. Francuzi chcieli ścigać się z Gervaisem, ale odmówił.

— Chcę, byście podziwiali moją posiadłość, i uważajcie, jak obchodzicie się z moimi końmi — powiedział.

— Ależ mu odpowiada bycie bogaczem! — rzekł hrabia do sąsiada na tyle cicho, że Gervais go nie słyszał.

Podczas przejażdżki Charisa modliła się, by ta radość Gervaisa nie trwała długo.

Oczywiście musiała jechać z nim. Na szczęście, ze względu na niewielki wzrost Charisy, w powozie zmieścił się też hrabia. Była jednak ściśnięta między tymi dwoma mężczyznami. Tak bliskie sąsiedztwo doprowadzało ją niemal do fizycznej niedyspozycji, więc mówiła bardzo mało.

Mogła myśleć jedynie o tym, co Vincent i ojciec chcą zrobić, by postawić Gervaisa przed sądem. Nic nie przychodziło jej do głowy.

Kiedy Vincent zajmie należne mu miejsce markiza Mawdelyn, wszystko się zmieni — myślała.

Wiedziała, że objazd posiadłości w towarzystwie Vincenta sprawiłby jej prawdziwą radość. Natomiast Gervais interesował się tylko tym, co przynosi dochód.

Była pewna, że nie wydałby tych pieniędzy na opactwo ani na swoich pracowników. Mijał ludzi pracujących na polach, nie zdejmując kapelusza, jak to robił Vincent. Kiedy zatrzymali się przy jednym z gospodarstw, Charisa uznała, że rozmawia z farmerem w sposób agresywny. Nie zwrócił uwagi na żonę gospodarza, chociaż ukłoniła mu się z szacunkiem.

Nienawidzę go! Nienawidzę! — powtarzała sobie stale Charisa podczas jazdy.

— Jesteś bardzo milcząca, Chariso — nieoczekiwanie odezwał się Gervais.

— Jestem trochę zmęczona — odparła Charisa. — Sądzę, że po powrocie powinnam się położyć i poleżeć przed kolacją.

— To świetny pomysł — przyznał Gervais — ponieważ chciałbym, abyś wieczorem wyglądała jeszcze piękniej niż zwykle.

— Dlaczego właśnie dziś wieczorem? — spytała Charisa.

— Wyjaśnię ci to później — odparł Gervais.

— Pani zawsze wygląda pięknie — wtrącił hrabia przymilnie. Naprawdę, jeśli by pani wyglądała jeszcze piękniej niż w tej chwili, będzie mi trudno uwierzyć, że jest pani ludzką istotą!

— W tej chwili czuję się bardzo po ludzku! — rzekła Charisa. — Myślę, że od słońca rozboleła mnie głowa.

— Zatem od razu po przyjeździe idź się położyć — poradził Gervais — a przed kolacją przyślę ci specjalny napój, który sprawi, że poczujesz się, jakbyś tańczyła wśród gwiazd!

Zanim Charisa zdążyła odpowiedzieć, hrabia się roześmiał.

— Stajesz się poetą, Gervais.

— Mam ku temu wszelkie powody i nie mogę się doczekać wieczoru.

— Ja też — oznajmił hrabia. — Naprawdę, cieszę się bardziej, niż umiem wyrazić.

— A co ma się zdarzyć wieczorem? — spytała Charisa.

— Coś bardzo ważnego, i dlatego musisz wyglądać pięknie — powiedział Gervais.

Przyjechali z powrotem do opactwa, markiz zatrzymał konie. Gdy Charisa wysiadała z powozu, zauważyła, że hrabia i Gervais wymieniają znaczące spojrzenia, jakby mieli wspólną tajemnicę. Ponieważ przestraszyła się tego, co mówią, pobiegła po schodach na górę. Gdy

weszła do sypialni, poczuła ulgę na widok Bessy.

— Boli mnie głowa, Bessy. Chcę poleżeć aż do kolacji.

— To rozsądne! — wykrzyknęła Bessy. — Mówiłam, że dzisiaj jest za silne słońce dla panienki.

Rozpięła z tyłu suknię Charisy, ta zaś włożyła śliczną, ozdobioną koronkami nocną koszulę i położyła się. Bessy opuściła nieco rolety i, wychodząc z pokoju, powiedziała:

— Popilnuję, żeby panienki nie niepokojono, gdy się zdrzemnie. To panience dobrze zrobi!

Natychmiast po jej wyjściu Charisa wyskoczyła z łóżka i zamknęła drzwi na klucz. Potem odsunęła ściankę kryjówki, mając nadzieję, że będzie tam Vincent. Nie było po nim śladu. Rozczarowana, wróciła do łóżka, czując jeszcze większy niepokój niż przedtem.

Po upływie mniej więcej godziny drzwi kryjówki otworzyły się i Vincent wszedł do pokoju. Charisa krzyknęła z radości i usiadła w pościeli.

— Vincent! Już myślałam, że o mnie zapomniałeś!

Podszedł do niej i jak przedtem usiadł na brzegu łóżka. Chwyił ją za rękę i rzekł:

— Myślałem o tobie przez cały czas, odkąd stąd wyszedłem.

— A ja... myślałam o tobie — odparła Charisa. Podniosła na niego wzrok i poczuła, że jego palce zaciskają się na jej palcach. W tej chwili zrozumiała, że go kocha.

Zawsze go kochała, nawet w dzieciństwie. Aż do tego momentu nie zdawała sobie jednak z tego sprawy. Odczuła to jak olśnienie, które spadło na nią z nieba.

Przez chwilę po prostu patrzyli na siebie nawzajem.

Potem Vincent powiedział:

— Jesteś bardzo odważna i cudowna. Teraz jednak chcę cię spytać, czy znajdziesz w sobie jeszcze więcej odwagi niż do tej pory?

— Do czego? Co wraz z papą planujecie?
— spytała.

— Wiesz, że odkąd wróciłem, próbuję znaleźć jakiś sposób, by zająć należną mi pozycję głowy rodu i uniknąć śmierci z rąk Gervaisa.

— Tak, wiem i strasznie się boję tego, co on mógłby zrobić, gdyby się dowiedział, że tu jesteś.

— A to ty mi dziś podsunęłaś pomysł, co możemy zrobić, ale to nie będzie łatwe.

— Powiedz, o co chodzi! Mów prędko! — poprosiła Charisa.

— Słyszałaś, że Gervais mówił o odprawieniu dziś wieczorem jakiegoś nabożeństwa. To będzie, Chariso, „czarna msza”!

Charisa wpatrywała się w niego w osłupieniu. Przez chwilę nie mogła sobie uświadomić, co znaczy to określenie.

Gdy to do niej dotarło, wydała okrzyk zgrozy.

— To znaczy... Nie myślisz chyba...

— Gervais jest satanistą! — odparł Vincent.
— Wyrzucam sobie, że zapomniałem, jak jeden z przyjaciół wspominał mi o tym dawno temu po swoim pobycie w Paryżu.

— Satanistą! — powiedziała Charisa, nie mogąc złapać tchu.

— Podsunęłaś mi trop, mówiąc, że przyjechała z nim madame Ariste Dubus. To siostra jednego z najbardziej znanych paryskich satanistów, który używa narkotyków wywołujących halucynacje!

— I myślisz, że ona robi to samo? — wyszeptała Charisa.

— Sądzę, że ci wszyscy ludzie na dole, przyjaciele Gervaisa, są czcicielami szatana, tak jak on. Właśnie dlatego odprawia tę mszę dziś wieczorem.

Charisa westchnęła z przerażenia, a Vincent rzekł łagodnie:

— Czy rozumiesz, że chcą złożyć cię w ofierze podczas tej mszy?

Oczy Charisy rozszerzyły się ze strachu.

— Ja... nie wierzę... — zaczęła i niemal w tej samej chwili poprosiła: — Ocal mnie, ratuj!

Niejasno przypomniała sobie, że „czarna msza” jest odprawiana nad nagim ciałem niewinnej dziewczyny. Słyszała również o odbywających się wówczas dzikich orgiach.

Teraz zrozumiała, dlaczego Gervais powiedział, że potem będzie musiała wyjść za niego za mąż, i dlaczego madame Dubus stwierdziła, że nikt jej już nie zechce.

— Ratuj mnie! — poprosiła ponownie, kurczowo trzymając Vincenta obiema rękami.

— Wiesz, że to zrobię — oświadczył poważnym tonem. — Byłem z twoim ojcem u generała sir Henry'ego Barkera, szefa policji.

— A więc Gervais zostanie aresztowany! — zawołała z radością.

Nadal tuliła się do Vincenta, jakby w obawie, że odejdzie i zostawi ją własnemu losowi. On nagle oparł się plecami o poduszki, objął Charisę ramieniem i przytulił. Dziewczyna położyła mu głowę na ramieniu.

— A teraz posłuchaj, kochanie — powiedział.

Charisa była tak zdziwiona tym pieścizotnym zwrotem, że na chwilę zapomniała o strachu i tylko patrzyła na niego.

Uśmiechając się, Vincent wyznał:

— Kocham cię! Pokochałem cię w chwili, gdy wróciłem do domu, a ty okazałaś się taka dzielna! — Przytulił ją jeszcze mocniej i dodał: — Nie, to nieprawda! Kochałem cię przed wyjazdem, ale myślałem, że to uczucie do dziecka. Kiedy znowu cię zobaczyłem, zrozumiałem, że jesteś jedyną osobą, która naprawdę się dla mnie liczy w życiu!

— Och, Vincent... Czy to prawda?

— Dowiodę ci tego — odparł — ale na razie musimy skoncentrować się na pozbyciu się tego złego człowieka, który ci zagraża.

— Tobie też — dodała Charisa.

— Z Bożą pomocą oboje przetrwamy. Ale obawiam się, moja najdroższa, że będziesz musiała zrobić coś bardzo niemiłego, zanim będzie można aresztować Gervaisa.

Ponieważ mówił bardzo poważnym tonem, w pewnej chwili Charisa zadrżała.

— Jeśli to dla ratowania ciebie, zrobię wszystko, o co poprosisz.

— Wiedziałem, że tak powiesz. — Vincent uśmiechnął się. — Nie ma nikogo wspanialszego od ciebie!

Poczuła, jak całuje jej czoło. Potem zmusił się, by mówić dalej:

— Twój ojciec i ja pojechaliśmy do szefa policji...

— Jak udało ci się wymknąć z papą? — przerwała Charisa.

— Wymknąłem się drzwiami do ogrodu i przez krzaki doszedłem do końca parku — wyjaśnił Vincent. — Nikt nie widział, gdy wsia-
dałem do powozu. Twój ojciec powoził sam, a buda była postawiona.

— Bardzo sprytnie to wymyślił! — zawo-
łała Charisa.

— Nie spotkaliśmy nikogo, kto by mógł mnie rozpoznać, dopóki nie dojechaliśmy do siedziby szefa policji. Możesz sobie wyobrazić, jak zdziwił się generał na mój widok.

— Ale jestem pewna, że się ucieszył! On bardzo lubił wujka George'a!

— Bardzo się ucieszył, zwłaszcza że wiedział o działalności Gervaisa w Paryżu.

— To znaczy wiedział, że on jest sata-
nistą?

— Dochodziły do niego słuchy, że uprawia czarną magię, bardzo popularną obecnie we Francji. Jest przekonany, że człowiek, którego Gervais przedstawia jako swego prywatnego kapelana, jest byłym księdzem.

Charisa mruknęła coś ze wstrętem, ale nie przerywała. Vincent mówił dalej:

— Szef policji przyznał rację twemu ojcu, że należy wydalić tych wszystkich ludzi z kraju, a Gervais może zostać aresztowany pod zarzutem uprawiania czarów.

Charisa już miała westchnąć z ulgą, gdy Vincent dodał:

— Ale oczywiście musi mieć na to dowody!

Zapadła cisza. Potem ledwie dosłyszalnym głosem Charisa spytała Vincenta:

— Czy trzeba... bym wzięła udział w tej czarnej mszy?

— Mają nadzieję, że się zgodzisz, i o to, moja najdroższa, chcę cię prosić.

— Wjaki sposób mogę...?

Vincent przytulił ją tak mocno, że ledwie mogła oddychać.

— Przysięgam ci, że nikt cię nie dotknie, jak już przeniosą cię do kaplicy — obiecał. — Szef policji, twój ojciec i ja zaplanowaliśmy, że przezwiemy te obrzędy, zanim cokolwiek ci zrobią. Wtedy Gervais zostanie aresztowany, tak jak i wszyscy obecni.

Jego głos brzmiał czule, gdy powiedział:

— Wiem, że proszę cię o dużą rzecz, ale musisz wierzyć, że Bóg będzie cię chronił. Ja

zresztą też. Raczej zabiję Gervaisa osobiście, niż pozwolę mu cię tknąć! — W tej chwili jego głos stwardniał.

— Po prostu, kochanie, nie możemy nic zrobić, dopóki nie będziemy mieli dowodu, że on odprawia czarną mszę!

— A jak mówisz... nie może zrobić tego beze mnie!

— To prawda, bo zajęłoby im dużo czasu szukanie innej niewinnej dziewczyny potrzebnej do tych obrzędów. A w tym czasie i tak Gervais usiłowałby zrobić coś, by cię poślubić.

Zapadło milczenie. Potem Charisa spytała:

— Wyjaśnij, co muszę zrobić.

— Masz do wyboru. Przed czarną mszą satański urządza wielką ucztę, podczas której jedzą i piją bez ograniczeń. Chodzi oczywiście o odróżnienie się od chrześcijan, którzy postępują przed przystąpieniem do sakramentu.

— Czy muszę być na tej kolacji?

— Nie, jeśli wcześniej pozwolisz im doprowadzić się do utraty przytomności — odparł Vincent.

— To właśnie zamierzają uczynić — wyszeptowała Charisa. — Gervais powiedział, gdy jechaliśmy, że przyśle mi do sypialni specjalny napój, który sprawi, że będę się świetnie czuła

wieczorem podczas bardzo ważnej uroczystości.

— Jeśli wypijesz to, co ci przyśle, nie będziesz wiedziała, co się dalej dzieje. Właściwie sataniści są na swój sposób miłośnikami, bo nie zmuszają swych ofiar do uczestniczenia z pełną świadomością w okropnościach ich obrzędów.

— A jakie jest drugie wyjście? — spytała Charisa.

— Po prostu udajesz nieprzytomną, a tym samym nie bierzesz udziału w uczcie z całym towarzystwem. — Przerwał na chwilę, a potem mówił dalej: — Potem zanoszą cię do kaplicy i położą na ołtarzu, przekonani, że nie wiesz, co się dzieje wokół.

Charisa nie odzywała się, a Vincent powiedział bardzo cicho:

— Kochanie, to zależy wyłącznie od ciebie. Musisz zrobić to, co uważasz za słusne.

— Myślę, że wolę raczej wiedzieć, co się dzieje, a zwłaszcza być świadoma tego, że mnie ratujesz — oznajmiła Charisa.

— Jesteś całkiem pewna? — spytał.

— Bardziej przeraża mnie utrata przytomności i niewiedza, kiedy się obudzę.

— Dobrze — odparł — ale musisz być na tyle sprytna, by przekonać ich, że wypijaś wino z narkotykiem.

— Jestem pewna, że to potrafię — zapewniła Charisa — ale obiecaj, że będziesz niedaleko.

— Będę za drzwiami kryjówki, na wypadek gdyby coś poszło nie po naszej myśli, zanim zostawią cię samą i pójdą się objadać — powiedział z uśmiechem Vincent, by dodać jej otuchy. — Potem, gdy zanoszą cię do kaplicy, pamiętaj, że upłynie tylko kilka minut, zanim twój ojciec i ja wraz z policją przyjdziemy ci na ratunek.

scandalous

Vincent siedział z Charisą przez dłuższy czas. Całował ją, pocieszał i dodawał otuchy. W końcu zerknął na budzik przy jej łóżku i powiedział:

— Myślę, kochanie, że powinienem już zostawić cię samą. Musisz otworzyć drzwi, bo inaczej tamci ludzie uznają to za dziwne, że się tu zabarykadowałaś.

— Tak, oczywiście — przytaknęła Charisa drżącym głosem.

— Wiem, że się boisz, ale przysięgam, że kiedy się to skończy, nie będziemy do tego wracać. Sprawimy, że opactwo będzie szczęśliwym miejscem, gdzie istnieje tylko miłość, którą zapoczątkujemy ty i ja.

Mówiąc to, pocałował ją. Charisa wiedziała, że uczucie, jakie Vincent jej ofiarowuje, to prawdziwa miłość, w którą zawsze wierzyła.

Ta miłość pochodziła od Boga i żadne zło czy okrucieństwo nie mogło jej zniszczyć.

Gdy jednak Vincent podniósł się, by wyjść, zadrżała.

— Będziesz blisko mnie? — chciała się upewnić.

— Będę — odparł — i będę o tobie myślał, modlił się za ciebie i kochał cię.

Powiedział to w sposób tak wzruszający, że łzy napłynęły jej do oczu. Potem pocałował ją po raz ostatni i poszedł otworzyć drzwi, by Charisa nie musiała wstawać z łóżka. Uśmiechnął się, dodając jej otuchy, i zniknął w tajnym przejściu.

Charisa zamknęła oczy, modląc się, by wszystko się udało, a Gervais i inni sataniści zostali pokonani.

Jeśli całe to towarzystwo wróciłoby do Francji, nie będzie musiała już nigdy o nich myśleć. Wiedziała, że proboszcz poświęci kaplicę, by wypędzić z niej zło, które z sobą przynieśli. Dopiero teraz zrozumiała, dlaczego Gervais usunął krucyfiks i stare świeczniki. Zastanawiała się, co zamierzał ustawić na ich miejscu. Potem przypomniała sobie, że czytała, iż sataniści podczas czarnej mszy stawiają na ołtarzu odwrócony krzyż.

Ta myśl znowu wywołała w niej lęk. Przez chwilę miała ochotę wbiec do kryjówki i powie-

dzieć Vincentowi, że nie jest w stanie wykonać zadania. Potem przypomniała sobie, że ma go uratować i doprowadzić do tego, by został uznany za prawowitego markiza Mawdelyn.

Zrobię wszystko, wszystko, by ocalić Vincenta — przyrzekła sobie w duchu.

Była sama niedługo, bo wkrótce przysłała Bessy i oznajmiła:

— Przygotowałam kąpiel, panienko Chariso, a potem przyniosę suknię.

Dwie służące weszły za nią do pokoju, niosąc wannę. Ustawiły ją przed kominkiem. Oczywiście było tak ciepło, że w kominku nie trzeba było palić. Potem przyniosły dwa wielkie mosiężne dzbany — jeden z gorącą wodą, drugi z zimną. Charisa wiedziała, że po schodach wniósł je parobek, bo były za ciężkie dla kobiet.

Bessy dodała do kąpieli zapachu fiołkowego. Olejek z tych kwiatów był corocznie wytwarzany w opactwie, odkąd Charisa sięgała pamięcią. To jej matka poprosiła o zapach fiołkowy, bo poprzednio zawsze używano heliotropu. Ta słodka woń przypominała dziewczynie matkę.

Podczas kąpieli Charisa modliła się, by matka czuwała nad nią w trakcie czekającej ją próby.

Gdy kończyła się wycierać ogromnym ręcznikiem, ktoś zapukał do drzwi. Bessy poszła

zobaczyć, kto to. Cofnęła się, by madame Dubus mogła wejść do pokoju.

— Przyszłam zobaczyć, jak się czujesz, *ma petite* — powiedziała w swój zwykły wylewny sposób. — Twój kuzyn Gervais, który zawsze się o ciebie troszczy, przysyła ci ten wspaniały napój, który usunie ból głowy i sprawi, że będziesz się dobrze bawić w naszym towarzystwie w ten niezwykły wieczór.

Owinięta ręcznikiem Charisa spytała:

— Proszę mi opowiedzieć, co to będzie.

— Zaraz powiem, ale zdaje mi się, że twoja służąca chce wynieść wannę.

Mówiąc to, spojrzała na Bessy i ta pośpieszyła, by zawołać dwie pomocnice. Wyniosły wannę i konwie z sypialni. W tym momencie Charisa wpadła na pewien pomysł. Wstała i otworzyła szufladę w komodzie, tę, do której włożyła przywiezioną z domu szkatułkę z biżuterią.

Była to duża skórzana kasetka, należąca niegdyś do jej matki, podobnie jak większość umieszczonych tam ozdób. Nie było w niej jednak diademu ani cennego naszyjnika, które nosiła na specjalne okazje, ani pierścionków, które mąż dawał jej w kolejne rocznice ślubu. Znajdował się tam za to mały sznur pereł i niezbyt okazałe broszki, odpowiednie dla młodej

dziewczyny. Były również ładne bransoletki, wisiorki i ozdobione drogimi kamieniami spinaki do włosów.

Gdy tylko Bessy wyszła, madame Dubus podniosła kieliszek stojący na podręcznym stoliczku. Przyniosła go Charisie, która specjalnie usiadła na brzegu łóżka. Nie chciała, by madame dotykała jej, jeśli nie byłoby to konieczne.

— Wypij to teraz — rzekła madame Dubus.
— Naprawdę będzie ci smakować i wiem, że potem poczujesz się, jakbyś leciała do nieba.

Charisa pamiętała, że Gervais wspomniał o „tańczeniu wśród gwiazd”. Wiedziała, że napój musi zawierać silny narkotyk. Przyjęła kieliszek i powiedziała:

— To bardzo miłe, że Gervais myśli o mnie. W tym czasie, gdy będę piła, bądź tak dobra i wybierz coś z biżuterii, co twoim zdaniem powinnam dzisiaj włożyć. Biżuteria jest w szufladzie.

Wskazała na komodę. Wiedziała, że kiedy madame będzie oglądać klejnoty, odwróci się do niej tyłem.

— Zrobię to z przyjemnością — zapewniła madame Dubus — bo dziś wieczorem musisz wyglądać jak królowa z bajki.

Charisa roześmiała się.

— Sądzę, że to niemożliwe, ale może w takim razie włożę diamenty mojej mamy.

Jakby pod wpływem neodpartego impulsu, byje odnaleźć, Francuzka poszła w drugi koniec pokoju. Charisa natychmiast wylała zawartość kieliszka na dywan leżący pomiędzy łóżkiem i stołem. Nikt nie mógł zobaczyć żadnego śladu, chyba że podczas czyszczenia dywanu.

Trzymając teraz pusty kieliszek i udając, że traci władzę w ręku, Charisa powiedziała drżącym głosem:

— Dziwnie się czuję... myślę... że zaraz...

Jej głos ucichł i upadła do tyłu na łóżko.

— *Tiens!* — krzyknęła madame Dubus.

Odwróciła się i podbiegła do Charisy, która jej nie widziała, ale była pewna, że madame przygląda się jej z satysfakcją. Potem ułożyła jej nogi na łóżku. Zdjęła ręcznik, którym dziewczyna się wycierała, i owinęła ją jedną z atłasowych narzut.

Przez chwilę stała, spoglądając na Charisę, a potem podniosła kieliszek, który potoczył się po podłodze. Następnie podeszła do drzwi, otworzyła je i zobaczyła czekającą pod nimi Bessy. Charisa słyszała, jak madame Dubus mówi:

— Twoja pani źle się czuje i znowu zasnęła. Nikt nie może jej przeszkadzać, nikt! Zrozu-

miano? Masz nie wchodzić i nie budzić jej, ale pozwolić jej spać.

— Czy to znaczy, że panienska Charisa nie zejdzie na kolację? — spytała Bessy zdziwiona.

— Dokładnie to powiedziałam — odparła madame. — Jeśli ją zbudzisz, jego lordowska mość będzie się bardzo gniewać!

— Zostawię ją w spokoju, proszę pani, ale to dziwna pora na sen — zauważyła Bessy.

— Jesteś tu po to, żeby wypełniać polecenia — rzuciła napastliwie madame — a jeśli nie zrobisz tego, co powiedziałam, zostaniesz wydalona bez referencji.

Charisa wyobrażała sobie konsternację Bessy, do której nikt wcześniej nie zwracał się w ten sposób.

Potem madame Dubus najwyraźniej uznała, że nie może mieć zaufania do służącej, bo oświadczyła:

— Żeby mieć pewność, że nie będziesz jej przeszkadzać, zamknę drzwi na klucz.

Wyjęła go z zamka od strony pokoju, wyszła i zatrzasnęła drzwi.

Charisa usłyszała, jak przekręca klucz. Usiadła na łóżku, a ponieważ uświadomiła sobie, że jest naga, owinęła się ałasową narzutą. W tym momencie wejście do kryjówki otworzyło się

i zjawił się Vincent. Charisa już miała krzyknąć z radości na jego widok, ale gestem nakazał jej milczenie. Cicho podszedł do łóżka. Dopiero z bliskiej odległości odezwał się szeptem:

— Byłaś cudowna, kochanie!

— Słyszałeś, co ona mówiła?

— Słyszałem wszystko — odparł. — Nie mogę uwierzyć w swoje szczęście, że spotkałem kogoś tak wspaniałego jak ty.

Kiedy objął ją ramieniem, poczuł, że jej plecy są nagie. Delikatnie ją pocałował. Charisa uśmiechnęła się, a on ułożył ją wygodnie na poduszkach.

— Muszę teraz wyjść, moja maleńka, bo twój ojciec może chcieć jeszcze coś ze mną ustalić przed tą okropną kolacją, podczas której tamci będą się obżerać.

— Czy papa musi w tym uczestniczyć? — spytała Charisa.

— Jeszcze nie wie. Sądzi, że może zaproponują mu ten sam napój, który podali tobie. W gruncie rzeczy zdziwiłbym się, gdyby tak nie było.

— Ale chyba tego nie wypije?

— Oczywiście, że nie — odparł z uśmiechem Vincent. Pocałował ją bardzo delikatnie i powiedział: — Zostaw to mnie i myśl tylko o tym, że po dzisiejszym wieczorze będziemy mogli się po prostu kochać i pobierzemy się.

Oczy Charisy rozbłyły.

— Naprawdę chcesz, żebym została twoją żoną?

— Powiem, jak bardzo cię kocham i pragnę, gdy tylko będziemy mieć za sobą ten koszmar.

Po tych słowach odsunął się od niej. Charisa nie miała pojęcia, jak bardzo pragnął z nią zostać i jak bardzo nawet w tej krytycznej chwili go pociągała. Nie wyobrażał sobie nigdy nikogo piękniejszego. Włosy opadały jej na ramiona, a wąskie dłonie przytrzymywały atłasową narzutę, w którą się owinęła.

Vincent podszedł do wejścia do kryjówki i przez dłuższą chwilę przyglądał się Charisie z uśmiechem, a ona widziała w jego oczach miłość.

Na moment zapomniała o wszystkim poza tym, że się kochają. Wydało jej się wprost niewiarygodne, że mogliby być razem. A gdy się pobiorą, nic złego nie będzie mogło im się stać.

Zaczęła gorąco się modlić, by Bóg spełnił jej pragnienia. Potem przestraszyła się, że prosi o zbyt wiele.

Boże, spraw, proszę... — powtarzała jednak w myślach.

*

Sekretnym korytarzem Vincent dotarł do pokoju, w którym pułkownik miał przebrać się przed kolacją, i zajrzał do środka. Nie zdziwił się, widząc, że ojciec Charisy leży na łóżku w wieczorowym stroju, udając nieprzytomnego. Nie było też jego kamerdynera.

Vincent domyślił się, że przed upozorowanym wypiciem zatrutego wina pułkownik odesłał go i zakazał mu wracać.

Gervais z pewnością odpowie za swe niewiarogodne zbrodnie! — pomyślał Vincent. Ruszył tajnym korytarzem prowadzącym do kaplicy Mawdelyn. Tak jak się spodziewał, Gervais i jego przyjaciele przygotowywali się do czarnej mszy.

Na ołtarzu stał odwrócony wielki krucyfiks, przywieziony z Paryża przez nowego kapelana. Obok umieszczono sześć długich czarnych świec. Zamocowano je w podstawkach zrobionych z małych czaszek. Vincent odpędził od siebie myśl, że miały one wielkość czaszki dziecka.

Ołtarz przykryto materiałem ozdobionym okultystycznymi symbolami. Tam najwidoczniej miała zostać położona Charisa. Na podręcznym stoliku znajdował się bochenek chleba, nóż, kielich i karafka wina. Vincent był przekonany, że do wina dodano narkotyki o pobudzającym działaniu.

Tak jak podejrzewał, sataniści zażywali narkotyki przed przystąpieniem do odprawiania czarnej mszy.

Przez kilka sekund podglądał całe towarzystwo przez judasz ukryty w murze, a potem odszedł. Czuł się wprost chory na myśl o tym, co się będzie dziać. Na razie mógł jedynie czekać na przyście pułkownika.

Charisie wydawało się, że upłynęło bardzo dużo czasu, zanim usłyszała klucz w zamku. Zamknęła oczy, a jej ręce leżały bezwładnie pod narzutą.

Usłyszała, że do pokoju weszło kilka osób. Potem madame Dubus powiedziała niskim, dość rozedrganym głosem:

— Podnieście ją ostrożnie, *mes braves*! Nie chcemy żadnego wypadku!

Mówiła po francusku. Charisie wydawało się, że odpowiedział jej hrabia:

— Nie, oczywiście, że nie! Będziemy ostrożnie traktować kogoś tak cennego!

Sądząc po głosie, hrabia również mógł być pijany.

Kiedy Charisa poczuła jego ręce na swych nagich ramionach, chciało jej się krzyczeć. Inny mężczyzna niósł ją za nogi, tak że była przykryta narzutą.

Ruszyli w kierunku drzwi. Madame Dubus dawała im wskazówki, gdy szli głównymi schodami.

Charisa zastanawiała się, co się stało ze służącymi, którzy zazwyczaj tu stali. Ponieważ nie słyszała żadnego z nich, domyśliła się, że Gervais kazał im nie opuszczać pokojów dla służby.

Zrobiło się już bardzo późno, bo kolacja trwała długo.

Nagle Charisa usłyszała jakiś śpiew. Wiedziała, że dobiega on z kaplicy. Nie rozumiała słów, ale te odgłosy sprawiły, że się skurczyła w sobie. Była bardzo przerażona.

Głosy dobiegały coraz wyraźniej. Zorientowała się, że niosący ją mężczyźni weszli do kaplicy. W powietrzu unosił się mocny zapach kadzidła.

Śpiew stawał się coraz głośniejszy i silniejszy; Charisa uświadomiła sobie, że to rodzaj modlitwy odmawianej nie po francusku czy po angielsku, ale po łacinie. Rozróżniła kilka słów: Nisroch, bóg nienawiści; Moloch, pożerający dzieci; Adramelech, bóg morderców.

Znała te imiona z książki o czarnej magii, którą czytała przed laty.

W tej chwili goście Gervaisa zaczęli krzyczeć po francusku:

— Belzebubie, Adramelechu, Lucyferze, przybywajcie! Panie ciemności, błagamy cię! Szatanie, jesteśmy twoimi niewolnikami! Przybądź, przybądź! Oświeć nas swoją obecnością!

Charisa uświadomiła sobie, że leży już na ołtarzu. Woń kadzidła była oszałamiająca. Potem jeden z mężczyzn, znany jej jako kapelan, zaczął modlić się po łacinie, jednak wymawiając słowa od tyłu. Charisa cieszyła się, że dotychczas nikt nie zdjął narzuty okrywającej jej ciało. Drżała ze strachu i bała się, że obecni mogą zorientować się, że nie jest całkiem nieprzytomna, jak przypuszczali.

Do modlącego się „kapłana” dołączyła kolejna osoba, a potem całe zgromadzenie. Charisa słyszała, jak ponownie wzywali pomiędzy siebie szatana i inne diabły.

Belilah, wieczny buntownik; Asztaoth, władca anarchii; Nehamah, Astarte, królowie rozputy.

Wtedy bardzo się przestraszyła, że zło, które zdawało się wydobywać zewsząd, jakoś ją atakuje. Zaczęła modlić się słowami wieczornych nabożeństw, których nauczyła się w dzieciństwie.

„Rozprosz ciemności, błagamy Cię, Panie, a przez swe wielkie miłosierdzie wybaw nas

od wszystkich niebezpieczeństw i zagrożeń tej nocy, przez Twego Syna jedynego, naszego Zbawiciela, Jezusa Chrystusa".

Powtarzała w myślach słowa modlitwy. Po chwili, gdy pod wpływem otoczenia znowu ogarnęło ją przerażenie, zaczęła modlić się znowu:

„Rozprosz ciemności...”

Wtedy z tyłu kaplicy rozległ się donośny krzyk:

— Koniec z tymi bluźnierstwami!

Był to głos ojca, mocny i rozkazujący, jakby przemawiał jako dowódca w obliczu wroga.

Natychmiast zapadła cisza. Charisa zobaczyła, że ojciec i Vincent kroczą jeden obok drugiego wzdłuż bocznej nawy. Wtedy „kapłan” krzyknął ze strachu.

Gervais odepchnął go na bok. Charisa nie mogła się powstrzymać i otworzyła oczy, by widzieć, co się dzieje.

Gervais miał na sobie ornat haftowany w tajemnicze znaki. Spod rozciętej na przodzie szaty widać było nagie ciało. Stał tuż obok niej. Zobaczyła, że wziął ze stołu ostry nóż, a lewą ręką ściągnął z niej narzutę, ukazując jej nagość, i powiedział:

— Podejdźcie o krok bliżej, a zabiję tę kobietę ciosem w samo serce!

Mówił zupełnie nieswoim głosem. Twarz mu się wykrzywiła, gdy zawarczał jak dzikie zwierzę:

— Ona jest przeznaczona dla szatana! Należy do niego! Nie próbujcie nam przeszkodzić, bo ją zabiję!

Podniósł nóż. Charisa krzyknęła ze strachu, a wtedy policjant, który stanął w drzwiach za ołtarzem, postrzelił go w ramię. Inny policjant, z drugiej strony kaplicy, strzelił mu w pierś. Gervais zaskowyczał z bólu i upadł do tyłu, upuszczając nóż na podłogę.

Mężczyźni i kobiety siedzący w ławkach krzyknęli z przerażenia. Wcześniej na chwilę zamilkli, obserwując rozwój wydarzeń. Gdy zaczęli histerycznie krzyczeć, Vincent skoczył naprzód. Porwał Charisę w ramiona i owinął atłasową narzutą. Zaniósł ją w stronę bocznych drzwi, skąd strzelał pierwszy policjant.

Wszystko działo się bardzo szybko. Charisa ledwie zorientowała się, że to Vincent ją niesie korytarzem i w górę po schodach. Krzyki satanistów stopniowo milkły w oddali. Dopiero gdy Vincent przyniósł ją do sypialni, zalała się łzami.

— Już wszystko w porządku, najdroższa — pocieszał ją. — To już koniec!

Płakała tak rozpaczliwie, że go nie słyszała. Zaniósł ją do łóżka i okrył prześcieradłem i kocami. Potem pochylił się, by osuszyć jej łzy

pocałunkami i ukoić drżące usta. Gdy ich wargi się spotkały, przeszył go dreszcz zachwytu. To było jak olśnienie.

— Wszystko za nami, kochanie — rzekł.

— Tylko tobie zawdzięczam, że znowu jestem wolny. Jak szybko możesz za mnie wyjść?

— Och, Vincent, kocham cię — półgłosem odpowiedziała Charisa. — Ale przypuścmy, że oni...

— Zostaw sprawę ojcu i szefowi policji. Musimy im być bardzo wdzięczni, bo zrobili to tak, że nikt nie miał pojęcia, iż policjanci weszli do domu i okrążyli kaplicę.

— A teraz jesteś już naprawdę bezpieczny?

— spytała Charisa.

Ponownie ją pocałował.

— Uratowałeś mnie, a teraz musisz o mnie dbać. Mamy wiele do zrobienia, więc zapomnij o tym, co się zdarzyło, i myśl tylko o tym, co będziemy wspólnie robić.

Charisa parsknęła śmiechem.

— Nie sądzę, by ktokolwiek musiał tyle przejść, by zachować swój szlachecki tytuł i posiadłości!

— Jediną rzeczą, którą pragnę zachować, jesteś ty! Gdyby ciebie tu nie było, wszystko mogło się stać. Właściwie jestem pewien, że bym nie przeżył.

— Ale żyjesz! — wykrzyknęła Charisa.
— Och, kochany, to cudownie, że opactwo będzie znowu takie jak dawniej, równie święte jak zawsze.

Vincent uśmiechnął się.

— Jak mogłoby być inaczej? Z tego, co wiemy, na przestrzeni wieków zdarzały się tu gorsze rzeczy niż wizyta francuskich satanistów!

Charisa spojrzała na niego.

— Jesteś pewien, że oni... nie sprowadzili diabłów, które mogłyby tu mieszkać i nas straszyc?

— Jeśli miałyby się tak stać, jestem przekonany, że duchy mnichów i samego świętego opata Mawdelyn dałyby sobie z nimi radę!

Charisa była ukontentowana.

— To właściwa odpowiedź! Jak mogłam być tak głupia, by nie pomyśleć, że oni nie pozwolą, by szatan zawładnął opactwem... o ile on naprawdę istnieje.

— Wszyscy należymy do Boga i wiemy, że On istnieje! — powiedział Vincent.

Znowu ją delikatnie pocałował, po czym mówił dalej:

— Teraz, kochanie, muszę pójść na dół i zobaczyć, co się dzieje. Gervais został poważnie ranny. Musi jednak opuścić opactwo i jestem pewny, że policja tego dopilnuje.

— Czy zaraz wrócisz? — spytała Charisa.

— Wiesz, że tak. Czy chcesz, żeby przyszła do ciebie Bessy?

Charisa pokręciła głową.

— Nie chcę nikogo prócz ciebie — wyszepiała.

Pocałował ją, a potem z ociąganiem, jakby tylko z obowiązku, skierował się w stronę drzwi. Charisa pomyślała, patrząc, jak wychodzi, że wygląda teraz na wyższego i bardziej barczystego niż wtedy, gdy wymykał się sekretnym wyjściem. Miał teraz postawę godną markiza Mawdelyn.

Po jego wyjściu nie mogła się powstrzymać od płaczu, ale tym razem płakała ze szczęścia. Pan Bóg wysłuchał jej prośby.

W tydzień później Charisa we własnej sypialni w swym rodzinnym domu wkładała ślubny strój. Przez ten czas tyle się wydarzyło, że trudno jej było uwierzyć, iż to dzień jej zamążpójścia.

Nie powinno się nikomu życzyć śmierci, ale naprawdę odczuła wielką ulgę na wieść, że Gervais zmarł w drodze do lekarza. Natomiast jego przyjaciele zostali odesłani do Francji. Udzielono im ostrzeżenia, że gdyby jeszcze kiedykolwiek przyjechali do Anglii, zostaną aresztowani.

„Kapelan” był poszukiwany przez francuską policję za współudział w zamordowaniu dziecka złożonego w ofierze podczas satanistycznych obrzędów.

Madame Dubus po powrocie do Paryża dowiedziała się o śmierci brata. Znalaziono go w publicznej toalecie, gdy wstrzyknął sobie zbyt dużą dawkę morfiny.

Vincent jako nowy markiz zarządził opactwem i całą posiadłością. Uradowało to wszystkich, którzy przedtem służyli jego wujowi.

„Panicz Vincent”, jak wielu starych służących uparcie go nazywało, przywrócił dawne porządki. Zdaniem Charisy teraz Dawkins i pani Bush wyglądali o dziesięć lat młodziej. Jej ojciec starał się pomagać Vincentowi najlepiej, jak umiał.

Wiedziała, że po ślubie jej wielkim majątkiem będzie dysponował Vincent. Będą mogli zatrudnić w posiadłości Mawdelyn więcej pracowników, a gospodarstwo przywróci się do dawnej świetności, jaką pamiętała z dzieciństwa.

Najważniejsze jednak dla Charisy było to, że z każdym dniem, jakie spędzali razem, Vincent coraz bardziej ją kochał. Widziała wyraźnie, że chce ją pojąć za żonę wcale nie dlatego, że jest bogata. Po prostu kochał ją jako kobietę. A również dlatego, że jak sam to powiedział, stanowi-

ła częśćkę opactwa. Nie wyobrażał sobie, by bez niej mogło być ono jego domem.

Teraz Charisa przyglądała się w lustrze swej pięknej białej sukni ślubnej, przywiezionej z Londynu. Pokojówka upięła jej koronkowy welon i włożyła diamentowy diadem, należący niegdyś do matki. Wtedy Charisa pomyślała, że jej wszystkie marzenia się spełniły.

Zostanę żoną Vincenta i będziemy tak szczęśliwi w opactwie, że nie zechce się nam nigdzie stąd wyjeżdżać — powiedziała sobie w duchu. Skoro mogła tu jeździć na koniach, które sami hodowali, wiedziała, że Londyn nie będzie jej pociągał.

Uwielbiała też spacerować po olbrzymich salach opactwa. Czuwały nad nimi duchy zakonników, które raz jeszcze zwyciężyły w walce ze złem.

Z ulgą stwierdziła, że Gervais nie sprzedał wysadzanego drogimi kamieniami krucyfiks i świeczników z kaplicy Mawdelyn. Wszystko zostało ponownie ustawione na swoich miejscach.

Pastor odprawił egzorcyzmy, by wypędzić wszelkie zło, które mogli sprowadzić sataniści. W tych bardzo poruszających obrzędach uczestniczyli jedynie Vincent, Charisa i jej ojciec, głośno odpowiadając na wezwania kapłana. Kiedy pastor pobłogosławił zebranych owym starym

krucyfiksem, Charisa czuła, że dusze zakonników wielbią Boga.

Wiedziała, że wszyscy domownicy, zarówno z opactwa, jak i jej rodzinnej posiadłości, chcą być na ślubie. Wobec tego uroczystość miała się odbyć w głównej kaplicy opactwa. Żeby zrobić przyjemność pannie młodej, pastor przeniósł tam chwilowo drogocenny krucyfiks z Kaplicy Opata.

— Nie dojrzysz go spoza kwiatów — powiedział jej Vincent. — Ogrodnicy znosili je tam przez godzinę, by mieć pewność, że kaplica będzie stanowić odpowiednią oprawę dla twej urody.

— Zależy mi jedynie, byś ty uważał, że jestem piękna — odparła Charisa.

— A jak mogłoby być inaczej? Ale kocham nie tylko twoją piękną buzię, lecz także serce i duszę.

Vincent pocałował ją w czoło i mówił dalej:

— Prowadziłaś mnie jak gwiazda i dodawałaś otuchy, gdy zakradłem się do domu i bałem się, że w każdej chwili mogę poczuć nóż Gervaisa pomiędzy łopatkami.

Charisa zarzuciła mu ręce na szyję.

— Nie strasz mnie, kochanie — poprosiła. — Staram się uwierzyć, że nie znajdzie się już żaden niegodziwy krewniak, który będzie próbował odebrać ci tytuł i majątek!

— Tylko w jeden sposób możesz wyeliminować rywali tego rodzaju — odparł Vincent.

— Co miałabym zrobić? — spytała.

— Dać mi syna.

— Ależ oczywiście! Dlaczego mi to nie przyszło do głowy?

Znowu objęła go ramionami za szyję i powiedziała bardzo miękko:

— W opactwie powinno być dużo dzieci. Pamiętasz, jacy byliśmy tu szczęśliwi w dzieciństwie?

Vincent nic nie odpowiedział. Po prostu pocałował ją namiętnie, a ona zrozumiała, że te słowa go podniecały.

Teraz, przyglądając się sobie w lustrze, Charisa miała nadzieję, że zawsze będzie uznawał ją za piękność i nie zainteresuje się żadną inną kobietą.

Gdy kiedyś usłyszała, że w Londynie wielu mężczyzn nie dochowuje wierności żonom, a żony mężom, była zaszokowana. Martwiła się, że mężczyzna, którego poślubi, też może po pewnym czasie poszukać sobie kogoś innego.

Czegoś takiego jej ojciec nigdy nie zrobił.

Była głęboko przeświadczona, że Vincent kocha ją tak samo jak ona jego, całym sercem i duszą. Zza drzwi dobiegło pytanie:

— Czy panienka Charisa jest gotowa? Powóz stoi już przed drzwiami, a pan pułkownik czeka w hallu.

— Już idę! — odpowiedziała Charisa.

Po raz ostatni rzuciła okiem do lustra.

Boże, proszę, spraw, by zawsze myślał, że jestem taka śliczna jak dzisiaj. Odwróciła się i zeszała na dół, gdzie czekał na nią ojciec.

Powóz był zaprzężony w nową, wspaniałe dobraną czwórkę czarnych koni. Pułkownik ofiarował je Vincentowi z okazji ślubu.

— Byłem na targu koni i nie mogłem się im oprzeć — wyjaśnił. — Zamierzałem kupić je dla siebie, ale potem pomyślałem, jak pięknie będzie wyglądać Charisa, jadąc takim zaprzęgiem, a zatem, mój chłopcze, są twoje!

— Nie wiem, jak mam dziękować — powiedział wówczas Vincent — bo to tak naprawdę znaczy, że oddaje mi pan Charisę!

Pułkownik roześmiał się.

— Zdaje mi się, że nikt nie pytał mnie w ogóle o pozwolenie! Ale wystarczy powiedzieć, że wolę, byś to ty był moim zięciem niż ktokolwiek inny!

Siedząc w powozie, Charisa wsunęła rękę w dłoń ojca.

— Tak się cieszę, że będziesz wraz z Vincentem budował tor wyścigowy. To znaczy, że

będę mogła się z tobą widywać codziennie i się nie rozstaniemy, papo!

— Nie mam zamiaru się z tobą rozstawać — odparł pułkownik. — Mam wiele planów dotyczących obu majątków, które jak sądzę, obecnie powinny zostać ostatecznie połączone.

— Och, papo, co za wspaniały pomysł! — zawołała Charisa. — Wiem, że Vincent się bardzo ucieszy i będzie wzruszony.

— Możecie zostawić wszystko pod moją opieką, gdy pojedziecie w podróż poślubną — rzekł pułkownik. — I tak wiem, że Vincent będzie teraz myślał tylko o tobie, a ty o nim.

— Masz zupełną rację, ale jeśli kupisz nam jeszcze więcej koni, będziemy musieli powiększyć stajnię!

— Już o tym myślałem — przyznał pułkownik.

Oboje się roześmieli.

Gdy w zasięgu wzroku ukazało się opactwo, Charisa poczuła, jak gwałtownie bije jej serce.

U szczytu schodów oczekiwał Dawkins, by ją powitać. Służba w hallu jeszcze nigdy nie wyglądała tak elegancko.

Kaplica była wypełniona po brzegi domownikami obu majątków. Przybyli również wszy-

scy gospodarze wraz z żonami mieszkający na terenie obydwu posiadłości.

Gdy Charisa szła wzdłuż nawy, czuła, że wszyscy stanowią jedną wielką rodzinę. Rodzina ta wywodziła się z czasów, kiedy mnisi zaczęli budować opactwo. Pierwszy opat pobłogosławił je i nadał mu imię świętego Mawdelyn. To błogosławieństwo towarzyszyło opactwu przez wszystkie stulecia. Teraz Charisa i Vincent uklękli, by pastor pobłogosławił ich związek. Gdy przyjęli błogosławieństwo, pomyślała, że nikt nie może mieć więcej łask bożych i być szczęśliwszy od nich.

Po zakończeniu uroczystości Charisa czekała na męża w jego sypialni. Ponieważ wcześniej mieszkał tu Gervais, pokój także został poddany egzorcyzmom.

Teraz wypełniał go zapach lilii i innych kwiatów, przyniesionych przez ogrodników. Ustawili je na kominku i w olbrzymich wazonach po obu stronach łóżka.

Vincent wszedł do pokoju i przez chwilę przyglądał się żonie. Pomyślał, że nie istnieje nic piękniejszego od niej i że ona sama wygląda jak kwiat.

Charisa wyciągnęła do niego ramiona, ale on jeszcze chwilę stał nieruchomo.

— Czy naprawdę do mnie należy taki klejnot? — spytał.

— Jestem twoja... cała twoja, kochany — wyszeptała.

Wolno zbliżył się do niej. Usiadł na łóżku, jak wtedy, gdy przekradał się tajnym przejściem.

— Mam wrażenie, jakby to był sen, i boję się, że się obudzę — powiedział.

— Już się obudziłeś i jestem tutaj z tobą — usłyszał cichą odpowiedź Charisy.

— Moja gwiazda, która mnie prowadziła i ocaliła — rzekł w zadumie Vincent. — Chcę ci tyle powiedzieć, ale nie umiem tego wyrazić słowami.

— Nie trzeba wcale słów — szepnęła Charisa. — Nasze serca rozmawiają ze sobą. Kocham cię, Vincent!

Położył się obok niej i wziął ją w ramiona.

— Kocham cię, podziwiam i wielbię, Chariso! Ale to nie wyraża dokładnie tego, co czuję do ciebie w tej chwili.

Potem zaczął ją całować namiętnie, gorączkowo, jakby się bał, że mimo wszystko może ją utracić.

Charisie wydało się, że cały świat wokół nich gwałtownie zawirował.

Ona również przeniosła się w świat snu.

Był to sen o miłości tak doskonałej, że niemożliwej do opisanía. Już nie byli ludźmi i nie przebywali na ziemi.

Ona była gwiazdą, za którą uważał ją Vincent, a on świecił na firmamencie tak samo jak ona. Bił od nich blask, który ich łączył w jedno i czynił częścią boskiej siły.

— Kocham cię, kocham! — te słowa płynęły wprost z ich serc i dusz.

To miłość sprawiała, że nie byli w stanie myśleć, mogli tylko czuć. Charisa należała do Vincenta.

Przeżyli strach i ciemności i pokonali szatana, by odnaleźć się nawzajem. Zło zostało wypędzone. Oboje wiedzieli, że w przyszłości świętość opactwa będzie ich chronić przed złem, które mogłoby im grozić.

„Kocham cię, kocham!” — brzmiało to jak anielskie chóry i śpiewy mnichów, które zdaniem Charisy rozlegały się w powietrzu.

Wyznanie to słyszała także Charisa w biciu ich serc, w uniesieniu, jakie ich ogarnęło, gdy Vincent ją całował.

Nie byli już dłużej dwojgiem ludzi, lecz od-tąd mieli stanowić jedno. Towarzyszyło im boże błogosławieństwo, które mieli przekazać swoim dzieciom, wnukom i następnym pokoleniom.

Była to łaska miłości pochodzącej od Boga.